



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 17 lipca 1955 r.

Nr 29 (277) Rok VI

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Niektóre zagadnienia rozwoju literatury współczesnej

Myślę, że trzeba kończyć z rozważaniami ogólnymi, z diagnozami bardzo szerokimi. Formułując te diagnozy popełniało się sporo błędów, niektóre z tych błędów w toku dyskusji były prostowane. Zapewne nie wszyscy zwolennicy tej czy owej tezy zostali przekonani, ale to nie jest możliwe ani w tak krótkim czasie, ani za pośrednictwem jednej dyskusji czy jednego referatu. Kierunek natomiast dyskusji, kierunek poszukiwań został określony dość jasno i wyraźnie. Widzimy, że z jednej strony — potrzebne i wspólne dla wielu dziedzin sztuki jest spotęgowanie możliwości, skuteczności jej oddziaływania wychowawczego. Z drugiej strony wydaje się, że niektórzy krytycy i artyści szukając

przyczyn niedomagań naszej sztuki w minionym dziesięcioleciu odchodzili od jasnej, prostej ideowej wytycznej, od świadomości dla kogo piszemy, po co piszemy, dla kogo tworzymy i po co tworzymy. Wypaczyło się w wielu wypadkach słuszną krytykę i jasne jest w jakim kierunku powinniśmy zmierzać, aby krytykę pogłębiać, aby krytyka odpowiadała wymaganiom, jakie społeczeństwo stawia naszej sztuce, żądając od niej pełni prawdy o naszym życiu. Pogłębiać trzeba krytykę, zwalczać natomiast jej wypaczenia, bo — jak sądzę — nie ma najmniejszego powodu, aby brak precyzji i sprawności myśli, brak ideowości, eklektyzm traktować jako sprawdzian bogactwa duchowego, co się niejednokrotnie w naszych ostatnich dyskusjach zdarzało.

warsztatu pracy, przypuścić do szkoły wiejskiej, staje wobec zadań organicznikowskich. Musi on normalnie pracować, jeść, spać, ożenić się, wychować dzieci. Można powiedzieć, że przecież podobnie wygląda sprawa młodego technika czy agronoma w Państwowych Ośrodkach Maszynowych.

Wydaje mi się, że jest to pogląd jak najbardziej błędny, jak najbardziej fałszywy. Rzecz nie tak wygląda! W kraju, w którym przecież nie zastoiny kapitalizmu, ale zastoiny średniowiecza nie są jeszcze usunięte, nie tak wygląda sprawa w szkole wiejskiej. W tej szkole toczy się także ostra walka o przebudowę socjalistyczną wsi, o rozwój spółdzielczości produkcyjnej. Nie tak wygląda sprawa w Państwowych Ośrodkach Maszynowych, gdzie skupia się nowa inteligencja wiejska, gdzie powinno właśnie bić serce rewolucyjnych przemian na wsi, rewolucyjnych przemian w naszym kraju!

Ale nie będę mnożył przykładów tych szczegółowych fałszywych sądów. Chciałbym tylko podkreślić, że na dnie owych twierdzeń tkwi przekonanie, że właśnie osiągnęliśmy jakiś, jeżeli nie ostatni, to zaawans-

sowany etap rozwoju i że właściwie działalność o charakterze wyraźnie twórczym, rewolucyjnym jest zakończona, że narasta ogromną falą, przeważającą potrzebą pracy organicznej, kierowanej jakimiś innymi kryteriami. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że — tak nie jest.

To fakt, że na ziemi naszej dokonano się ol' rzymie przeobrażenia, że dziesiątki milionów ludzi zmieniły zawód, przechodząc ze wsi do miast, w procesie przemiany naszego rolniczego kraju w kraj przemysłowo-rolniczy. Ale jednocześnie dokonano zdejmy sobie sprawę, jak ogromne aktualne zadania rewolucyjne stoją przed nami, jak te zadania są trudne, jak rozwiązanie ich wymaga pasji rewolucyjnej, głębokiego przekonania, entuzjazmu, który sztuka może i powinna budzić, kiedy towarzyszy w marszu walczącym i budującym nowy porządek, kiedy jest w pełni świadoma, jak ogromne zadania przed nią stoją. Bo przebudowa socjalistyczna wsi, to wcale nie jest bardziej blache zadanie aniżeli zdobycie władzy politycznej, aniżeli socjalistyczna industrializacja, która też nie jest za nami, tylko ciągle jeszcze przed nami, jeśli idzie o poważną część zadań.

Przyczyna wypaczeń

Chciałbym się przede wszystkim zastanowić, gdzie tkwi najgłębsza przyczyna różnicy poglądów i gdzie tkwi, jak sądzę, przyczyna wypaczenia słusznej krytyki, nie zawsze pełnych osiągnięć i nie zawsze prowadzących prosto do celu dróg rozwojowych naszej sztuki i literatury ostatniego dziesięciolecia.

Sądzę, że tkwi ona w sferze sądów pozaartystycznych, że tkwi ona — jak zawsze wtedy, kiedy tworzy i sensownie myślimy o literaturze, o sztuce — w sferze sądów politycznych. Często bowiem mamy w krytyce do czynienia z dwiema odmiennymi ocenami naszej sytuacji politycznej, z odmiennymi ocenami charakteru walki klasowej w naszym kraju. Sądzę, że istnieją z grubsza biorąc dwa poglądy. Jeden który mówi o „zakończonym” działaniu rewolucyjnych (przynajmniej w poważnej mierze), o wygasaniu walki klasowej, o przejawianiu się na pierwszym planie czy często może wyłącznie, konfliktów, już nieantagonistycznych. Te „opymistyczne” i niezgodne z rzeczywistością oceny nie są wypowiedziane w formie tak osólnej i brutalnej, jak je tu formułuję, bo w tym sformułowaniu są one jawnym głupstwem. Niemniej sprawa wygląda inaczej, kiedy się formułuje sądy, w ostatniej konsekwencji sprowadzalne do tego podstawowego twierdzenia, a dotyczące spraw szczegółowych. Kiedy się mówi np.: jak to? przecież wszyscy już są przekonani, przecież np. wszyscy się cieszą z Nowej Huty! To prawda, z Nowej Huty cieszą się bodaj wszyscy, ale co innego jest cieszyć się rozwojem przemysłu z pozycji organicznikowskich, po-

zytywistycznych, burżuazyjnych, cieszyć się, że przybywa nam coś w gospodarstwie narodowym, a co innego jest akceptować z całym zrozumieniem industrializację socjalistyczną. I tutaj musimy sobie zdać sprawę, że wiele jeszcze mamy przed sobą do dokonania, aby istotnie tak przeobrazić naszą rzeczywistość, a także i psychikę, świadomość społeczną, abyśmy mogli powiedzieć, że oto mamy do czynienia ze świadomymi, do końca konsekwentnymi budowniczymi socjalizmu i zwolennikami industrializacji socjalistycznej.

Można powiedzieć w szczegółowych rozważaniach: jak to, przecież ludzie młodzi, którzy dziś wchodzi w życie, jeżeli nie fizycznie i biologicznie, to przynajmniej psychicznie i kulturalnie urodzili się w socjalizmie, akceptują go!

Wydaje mi się, że tak sprawa nie wygląda, że trudności, z jakimi walczą nasza młodzież — trudności ideologiczne, niejednokrotnie błędnie się uleganie wpływom obcych ideologii, które potrafimy spstrzec, kiedy się z tą młodzieżą stykamy — że wszystko to świadczy, że nie tak łatwo jest urodzić się socjalistycznie w socjalizmie, nawet jeżeli budowa tego socjalizmu trwa już od lat dziesięciu.

Można również powiedzieć, że przecież rzeczywistość nasza jest już rzeczywistością ustabilizowaną, przecież młody człowiek, który wychodzi ze szkoły, zwłaszcza zawodowej, wyższej, rozpalony ideowo, pełen zapału, oczyniał, zwłaszcza w radzieckiej patetycznej literaturze rewolucyjnej, kiedy przychodzi do

O rzekomym pogłębianiu sztuki

Otóż z fałszywej oceny naszych zadań, z fałszywej oceny sytuacji wynikają określone konsekwencje. Jest tendencja zwłaszcza na terenie literatury, ale też i teatru, i filmu, które z literaturą się wiąza, i radia, do uprławiania właśnie jednostronnej krytyki błędów i niedociągnięć, skupienia uwagi jednostronnie na konfliktach nieantagonistycznych. — Jest tendencja do tego, ażeby osiągnąć rzekome pogłębienie sztuki, zblizenie do pełnej prawdy, zintensyfikowanie skuteczności wychowawczego działania sztuki przez skoncentrowanie się właśnie na pozycjach przede wszystkim atakujących to wszystko, co jest błędem i co jest brakiem w naszej rzeczywistości.

Oczywiście chodzi o to, ażeby walczyć ze złem, żeby w literaturze stałe, aktualnie, mocno, odważnie walczyć z tym wszystkim, co jest stare i co nam przeszkadza w posuwaniu się naprzód, bo to jest także walka o socjalizm.

Chodzi jednak o to, by ta krytyka istotnie ukazywała pełną prawdę, by akcentowała, że pokonując istotne trudności, wchodząc w nasze życie ludzi w świadomości, że stają przed nimi ogromne i trudne zadania, jed-

nocześnie ukazujemy im sens naszej drogi, szlachetność celu, twórcę, nowatorski charakter zadań. Trzeba pamiętać, żeby nie przenosić całej sprawy na teren, gdzie nie da się tego pokazać, albo gdzie się ten obraz zamaże, nie przenosić sprawy przede wszystkim do wnętrza schorzałych, obolałych psychik. Ten pochod do wnętrza, to właśnie ukazywanie człowieka w oderwaniu od jego obiektywnych związków z rzeczywistością — staje się właśnie w niektórych wypowiedziach teoretyków i niektórych przejawach twórczych jakas propozycja kierunku pogłębienia osiągnięć naszej literatury, lekarstwem na jej choroby.

Wydaje się, że ta linia wyjścia wiąże się ściśle z ową fałszywą oceną etapu, oceną, która mówi, że najważniejszą sprawą jest nie mobilizowanie do wykonania zadań, lecz usuwanie trudności, leczenie chorych dusz, płacenie odsetek od kosztów rewolucji różnym rentierom, czy to klasowo wytrawnym z siódła, czy spóźniającym się w marszu.

Wydaje mi się, że nie tak to wy-

(Dokończenie na str. 2)



Opracowanie graficzne M. Stachurskiego

JERZY STEFAN STAWIŃSKI

List do dziewczyny w Algierze

Droga Claudine! Prawie przez dwa lata nie dałem znaku życia. A przecież często wspominałem Cię w myśli i rozmowach; zapadałaś mi na dobre w pamięć, choć widziałem się przez parę dni zaledwie. Teraz zbliżają się w Warszawie dni odświętne. Mogłabyś przyjechać na Festiwal.

Nie powiedziałaś mi wszystkiego wtedy, w sierpniu 1953 roku, ale dobrze wiedziałem, co Cię do nas sprowadziło. Na Kongresie Studentów byłaś tylko obserwatorką; do Warszawy gnała cię paląca ciekawość. Dostrzegając ją na każdym kroku: i na ulicy, gdzie przysiadłaś się bacznie wystawom i przechodniom, i w restauracji, gdzie co chwilę zerkalas na kartę, porównując ceny z przeciętnym zarobkiem, i w sklepie spożywczym, gdzie badałaś pilnie asortyment towarów, i w księgarni, gdzie przewertowałaś wszystkie francuskie książki, i w nienajlepszej nocnej knajpie, gdzie zachwyceni i pijani warszawiacy raczyli Cię polską wódką. Mówiłaś później, że dopiero zażywszy owego ohydneho płynu Polacy pozbywają się swej stywności i stają się prawdziwie serdeczni. Ta sama ciekawość kazała Ci uniknąć w pódwórkę, gdy wchodziliśmy pod MDM-owskie „Kuranty”; ku mojemu przerażeniu dojrzałaś tam wtedy jedną wielką kupę smieci, silnie kontrastującą z kamienną elewacją frontu. Wiem, że nie smakowała ci lura, którą nam podano, choć robiłaś dobrą minę; ale jaka kawa w Polsce mogłaby zadowolić śniadą Algierkę?

Podobała mi się Twoja dociekliwość; chciałaś wiedzieć jak to jest u nas naprawdę i zdać sprawę kolegom, którzy złożyli się na Twą podróż. Na każdym kroku usiłowałaś zajrzeć za odsłoniętą fasadę miasta ustrojonego na przyjęcie cudzoziemców. Uciekałaś z obrad Kongresu, by powalać się po bocznych ulicach. Przyjechałaś z niemalym balastem uprzedzeń: dziwiłaś się, że w Warszawie widzisz tak mało milicji a tak dużo dbających o swą powierzchowność kobiet... i księży w sutannach. I na mnie patrzyłaś zrazu podejrliwie, choć jako tako mówiłem po francusku, znalazłem niektóre z ulubionych Twoich książek czy melodii i jak Ty szedłem kiedyś przez marsejską Cannebière.

Później Twoja podejrzliwość minęła. Wiele czasu poświęcał miśmy ideologicznym dyskusjom. Nie darzo bytasi studentką filozofii. Bardzo nie lubiłaś, gdy na Twoje pełne temperamentu tyrady odpowiadałem czasami uśmiechem. Do końca nie pozbyłaś się pretensji, że nie docierała do nas wszystkie książki, a na naszych uniwersytetach nie pozostawiają wyboru ideologii słuchaczom. Spierałaś się namiętnie z komunistami wszystkich narodów, Ani

przez chwilę nie myślałem, że przez dwa tygodnie staniesz się zwolenniczką naszego ustroju, przecież nie miał wszystko, co o nim dotąd wiedziałas, było fałszem. Dziwiłaś się, że ludzie zarabiają u nas różne, zależnie od kwalifikacji i zawodu, jak gdyby po Babeufie nie było naukowego socjalizmu. Ale byłaś inteligentną słuchaczką i obserwatorką. Teraz mogę Ci to już powiedzieć: wyjeżdżałaś troszeczkę odmiennie.

Przysłałaś mi kartkę z Algieru. W „świętym gaju” muzułmańska świątynia, a na progu białe odziane postacie. Słońce przenika przez obrzmie korony stuletnich drzew; dostojnie tu i cicho. A przecież choć piękny, wcale nie cichy jest Twój kraj. Nie mówiłaś o nim wiele. Wiem, że ni: działo się tam dobre, a i nadal dochodzą mnie złe wiadomości. Powiedziałaś, że Wazze problemy narodowościowe i społeczne są niezmiernie skomplikowane, a z odejściem Francuzów może rozgorzeć na dobre bratobójcza walka. Dziwiłaś się, że w Polsce taki spokój i nie ma na ulicach zerbraków. Odpowiedziałem Ci, że kiedyś nie było spokoju, a żebracy byli.

Czy nie przyjechałaś na Festiwal, żeby skonfrontować swe wspomnienia z rzeczywistością? Przez te dwa lata i myśmy się czegoś nauczyli. Nie tylko zniknęły śmiecie z wielu podwojek reprezentacyjnych gmachów, a fasady postanowiliśmy dostosować bardziej do naszych możliwości; nie tylko zwiększył się nieco asortyment i polepszył gatunek towarów w naszych sklepach; nie tylko każdemu z nas przybyło parę groszy w kieszeni, nie tylko zbudowano w Warszawie wiele nowych domów — ale i my sami urosliśmy o tych parę centymetrów. Coś z tego wpływa także na losy świata. Może nie uszło to Twojej uwagi.

Dosyć! Miniem pisać list do ładnej, pełnej temperamentu dziewczyny o ciemnej cerze i czarnych włosach, za którą biegalem przed dwoma laty nie tylko po to, by podperować mocno zaniedbaną francuszczyznę, czy przekonać ją o wyższości naszego ustroju. Do diabła! Czy zawsze musimy rozmawiać o polityce? Pamiętasz te chwile, gdy postanowiliśmy ją zignorować? Następnego dnia spierałismy się znowu.

Na Festiwal Warszawa przybierze znowu odświętne ubranie. Pewien jestem, że i teraz dojrzyysz przez nie nasze codzienne życie. A jeżeli poczujesz się zmęczona natrętnym bogactwem widowisk i ogwarem, stą języków, zejdźmy cichą uliczką nad Wisłę, odzie mi zaśpiewasz znowu te swoją dziwną arabską piosenkę.

Jerzy Stefan Stawiński

JÓZEF MORTON

W NOWYM POWIECIE

W Powiatowej Radzie Narodowej w Strzyżowie od rana tłoczno. Niemal do każdego drzwi cisną się chłopi i kobiety, słysząc jakieś szeptu przepłatanie niegłośnymi nawoływaniem. Co chwila gdzieś ktoś wchodzi przedkimi, zadzierzgiwymi krokami lub powolnym i cichym, z niesmiałością.

W pokoju Przewodniczącego, do którego dostatek się bocznym wejściem, ażeby nie czekać zbyt długo na swoją kolejkę, zastaje aż 5 osób. Same kobiety. Choć na dworze ciepło, dzień czerwcowy, opatulone są chustkami, zaciśnięte są rekoma pod brodą. Pierwsza, ta najbliższa stołu Przewodniczącego, to Dżika Katarzyna. Kobieta wysoka, o surowej, prostej twarzy. Pochoodzi z Konieczkowiej. Dawniej o dostaniu się kogoś z tej wsi do władz powiatowych nie było mowy, taki kawał drogi dzielił ją od Rzeszowa, gdzie znajdowały się te władze; dziś, kiedy Strzyżów awansował na miasto powiatowe, nie ma z tym żadnego kłopotu. Nawet dla tego, kto nie posiada własnych koni, bo w dni jarmarczne nie brakuje różnych okazji, w najgorszym razie można dojść na piechotę i za jednym zamachem pozatać wszystkie sprawy urzędowe.

Z czym przyszła Dżika do Powiatowej Rady? Z bagatelka. Ale dla niej nie była to bagatelka. Oto za czasów jeszcze rzeszowskiego powiatu oskarżono ją o wykopanie dołów w zsoście. Że jednak „ten kawał drogi”, że nikomu z Rzeszowa nie chciało się pojechać na miejsce i zbadać sprawę, oskarżenie przyjęło za zgodne z prawdą i ukarano ją 200 zł. grzywny. Kobieta pod naciskiem skwestrowała grzywnę

tę zapłaciła, ale kiedy w Strzyżowie utworzono Powiatową Radę, natychmiast złożyła odwołanie. I co się okazało? Że te doły to głupia złośliwość drożnika, z którym od lat żyje w niezgodzie. Grzywnę więc, ma się rozumieć, z miejsca umorzono i teraz chodzi o jej zwrot.

— Da się to zrobić? — Zapytuje cicho, niesmiało kobieta.

— Dać — odpowiada Przewodniczący, młody jeszcze człowiek — to się wszystko da. Ale wydaje mi się, że będzie lepiej jak te pieniądze przeniesiecie na podatek. Co wy na to?

— Może być. Nawet winnam jeszcze trochę...

Sprawa załatwiona! Mimo to kobieta jeszcze nie odchodzi: bo Przewodniczący chce się dowiedzieć, jak się żyje ludziom w Konieczkowiej. Wreszcie Dżika odchodzi od biurka, ale nie sama, tylko w towarzystwie specjalnie przywołanego urzędnika, który ma dla niej napisać odpowiednie podanie, żeby nie musiała jeszcze raz przychodzić tutaj przez te nieszczęśliwe grzywny, a jej miejsce zajmuje inna. Przewodniczący, który nie wszedł jeszcze w skórę biurokraty, co 100 razy przerzuci jakiś papierek w rękach nim go w kołcu raczy przeczytać — także dla następnych interesantów ma dużo ciepła, dużo gorliwości. W jego ruchach, w jego oczach i słowach czuje się i widzi tylko jedno: wielką chęć pomagania im, rozwiązywania ich trudnych i skomplikowanych spraw, ułatwiania im życia. Przy tym, co tu mówić, jest w tym wszystkim i trochę chętności: patrzeć, jak należy dla was pracować! Teraz na pewno nie będziecie na nic narzekać. Czyja w tym zasługa? Moja? No, tych, co mnie wybrali, to chyba też,

A tych co utworzyli tutaj nowy powiat, to może nie?

Późno, bo prawie przed trzecią po południu, zamykają się drzwi za ostatnim interesantem i Przewodniczący zmęczonym ruchem kładzie ręce na biurku, jeszcze zyciutkiem, nowiutkim i pachnącym składem meblowym, skąd je przed kilku miesiącami przyniesiono. Długo, długo milczy, jakby od nowa miał rozstrzygać sprawę, w której chodziło o odebranie domu, wyrokiem sądowym już dawno przyznanego prawej właścicielce; przestarała, nieprzyjemna sprawe. Wreszcie się odzywa.

— Codziennie prawie mamy tak... Taki młynek! Jeden odchodzi, a drugi już stoi przed tobą. A na początek panowała u nas prawdziwa sordoma i gomora, taka była koltowanna! Ludzie po prostu przejeżdżali dawał przez korytarz. W komitecie partii też to samo albo jeszcze gorzej. Nic dziwnego! Przez dziesięć lat nagromadziło się tyle różnych spraw, bolączek, i ze siebie po prostu człowiek wychodzi, żeby pomóc jak należy, poradzić jak najlepiej, załatwić. Ale to już przeszłość, historia! — uśmiechnął się naraż do mnie, lecz wnet jego twarz stała się znowu zamyślona, bo załatwianie interesantów to nie jedyne obowiązki Przewodniczący Rady.

— Teren jest zaniedbany, ot co! Były takie wioski, w których pierwszymi przedstawicielami władzy ludowej, jacy się w nich pokazali, to dopiero my byliśmy. Ludzie patrzyli na nas jak na diwy. Czy tam mogła być mowa o jakiejś pracy na lepsze?

— Ale powinniśmy swoje ludzkie chyba wypełniać?

— Powinności, to dużo, ale nie wszystko! Zresztą te powinności też kulały, a praca kulturalna — żadna, polityczna — tak samo, a teren

tu taki, że wymaga specjalnej opieki. Z co drugiego, trzeciego domu jest ktoś w Ameryce, bo na całą Polskę znana była przed wojną nędza rzeszowskiego chłopca. Teraz przychodzą stamtąd ciuchy razem z listami, z różnymi listami — powtórzył z naciskiem — do zakładania spółdzielni produkcyjnych na pewno w nich nie nawołują. A sytuacja rolna u nas wciąż stoi kiepsko. Zł! Gospodarz, który posiada 5 ha, to już bogacz, jak przed wojną. Większość — to zagrody od 1 do 3 morgów, a ile jest takich, co liczą tylko pół morgi, albo 2—3 zagony, na których gnoją się ludziska, po prostu duszą?

— Reforma rolna... — zacząłem, ale mi szybko przerwał:

— Reforma rolna! Owszem, była i u nas, ale to kropła w morzu. Jedyne, co by mogło nas uzdrowić, to przesiedlenie się najmniej połowy ludności na wolne jeszcze gospodarstwa czy to na Zachodzie czy na Podkarpaciu, a dla reszty — spółdzielnie. Ale to ciężki, bardzo ciężki orzech do zgryzienia. Bo nawet ten, co nic nie zbiera, a chalupa mu się rozlatuje, nie chce myśleć o żadnym przesiedleniu się. Wyrosł w nędzy, w służbie u obcych, a innego życia niż to, po prostu się boi.

— A nie trafił do niego jeszcze tacy, co by go uświadomili i pomogli mu? — dokończyłem jego myśl.

— Bo to była poniekąd fizyczna niemożliwość — powiedział. — Sami słyszełicie o dolach Dzikiej z Konieczkowiej. Nie zbadał ich. Winić kogo za to? Wicie ile z tej Konieczkowiej do Rzeszowa paskudnej drogi? Bez pociągu, bez PKS-u? Chyba że 40 km. Długiego wozowania u nas powiatu z kilku gmin krosznieńskiego powiatu i z kilku rze-

(Dokończenie na str. 4 i 5)

Niektóre zagadnienia rozwoju literatury współczesnej

(Dokończenie ze str. 1)

WALDEMAR KIWILSZO

O Jerzym Wyszomirskim

gląda, że trzeba z całą pasją i z całym przekonaniem dojrzeć nasze zadania i nasze trudności, które rzeczywiście istnieją. Zobaczyć właśnie tę wieś, o której ostatnio we Wrocławiu mówił towarzysz Bierut, Zastanów się, co zrobić, aby człowiek, który wyszedł z gospodarstwa indywidualnego czy też był parobkiem na cudzym indywidualnym gospodarstwie, który jest obciążony całym dziedzictwem (jeszcze) średniowiecza, którego wychowała kapitalistyczna moralność, żeby ten człowiek pojął, że jeżeli efektywnie, z zapałem pracuje na wspólnym, na spółdzielczym, to tworzy własny dobrobyt.

Proszę sobie wyobrazić te miliony ludzi, o które tu chodzi. Proszę sobie wyobrazić, jaka to jest istotna walka. Jak istotną sprawą jest przebudowa socjalistyczna wsi, jak olbrzymią, rewolucyjną sprawą jest wychowanie tego nowego człowieka w Polsce, o którym tak przekonująco i prawdziwie mówił towarzysz Bierut. Trzeba sobie jasno powiedzieć, co chce się robić w Polsce. Nie można znaleźć wyjścia na drodze bezideowości, na drodze smacz-

ków fałszywych ocen politycznych. Nie można być koitunem w sprawach politycznych, jeżeli chce się być artystą. Na pewno trzeba być realistą, trzeba być związany z swoim krajem, trzeba być przejętym zadaniami, które przed nami stoją, ażeby naprawdę znaleźć drogę sztuki, twórczej oceny rzeczywistości, nowatorstwa.

Ostatnio zdarzało się niektórym rozważać sprawy sztuki w oderwaniu od aktualnych dążeń społecznych. Tak postępować nie można pod karą karykaturalnego zubożenia własnej myśli. Trzeba patrzeć na przyszłość i rozwój sztuki z perspektywy wielkich, aktualnych zadań społecznych, jeżeli chce się osiągnąć to, co wszystkim nam leży na sercu, zbliżyć się do współczesności. Trzeba umieć powiedzieć człowiekowi współczesnemu to, co jest najistotniejsze i prawdziwe — powiedzieć całą prawdę, podać nie tylko za nim, nie tylko obok niego, ale niejednokrotnie przed nim, oddziaływać walcząco, wskazując gdzie jest zło, gdzie jest wróg, gdzie jest stare, co trzeba usunąć, jak pomagać nowemu.

miliony ciał zagazowanych. Obiektywnie poszukiwacze sprawiedliwości poza zwycięstwem w walce klasowej nie przeszkadzali, lecz pomagali tym podpalaczom.

Ale po wojnie wystąpiły te spory na nowo. Myślę, że i u nas — ta sprawa jest w dalszym ciągu aktualna. Myślę, że wszyscy, którzy czytali „Wyrok” Stadnickiego i czytali artykuł Lasoty na temat tego „Wyroku”, niezależnie od oceny jednego i drugiego utworu zdawali sobie sprawę, że tam jest polemika o sens dyktatury proletariatu, polemika o rozumienie sprawiedliwości jako rezultatu działania rewolucyjnego, że ta polemika z całą pewnością może i powinna być przeprowadzona w naszej literaturze. Powinna jednak być przeprowadzona w sposób zasadniczy. Nie wystarczy uznać, że utwór Stadnickiego jest wyrazistym, wymownym, i że pokazuje sytuację, w której rewolucyjne pojęcie sprawiedliwości mogło być nadużywane. Rzeczywiście przy selekcji młodzieży idącej na Uniwersytet niejednokrotnie mogły być i były popełniane indywidualne krzywdy, indywidualne niesprawiedliwości. Ale literat myślarz o tym zagadnieniu — nie tylko krytyk jak Lasota, ale właśnie pisarz, powinien widzieć każde doraźne nadużycie w perspektywie zasadniczego sporu. Tylko wtedy jego krytyka nadużycia będzie w pełni prawdziwa i przeto mobilizująca. Trzeba umieć pokazać jak z dyktatury proletariatu rodzi się historyczna sprawiedliwość, jak sprawiedliwość wymierzana całej klasie warunkuje sprawiedliwe postępowanie wobec jednostek. Trzeba widzieć jak utopijne szukanie sprawiedliwości poza walką klasową, poprzez rzekome doskonałone wewnętrzne, w istocie obiektywnie utrwała niesprawiedliwość, krzywdzi miliony jednostek. Z tych pojęć dopiero zawsze obecnych w utworze artystycznym i intelektualnie pisarz może dać trafną krytykę nadużyciu rewolucyjnej sprawiedliwości, tam gdzie one występują. A występują jako przeżytki starego, jako zaprzeczenie rewolu-

cyjnego humanizmu. Lasota, jak sądzę, przekonująco wykazał, że Stadnicki takiej postawy nie umiał zająć w swej krytyce.

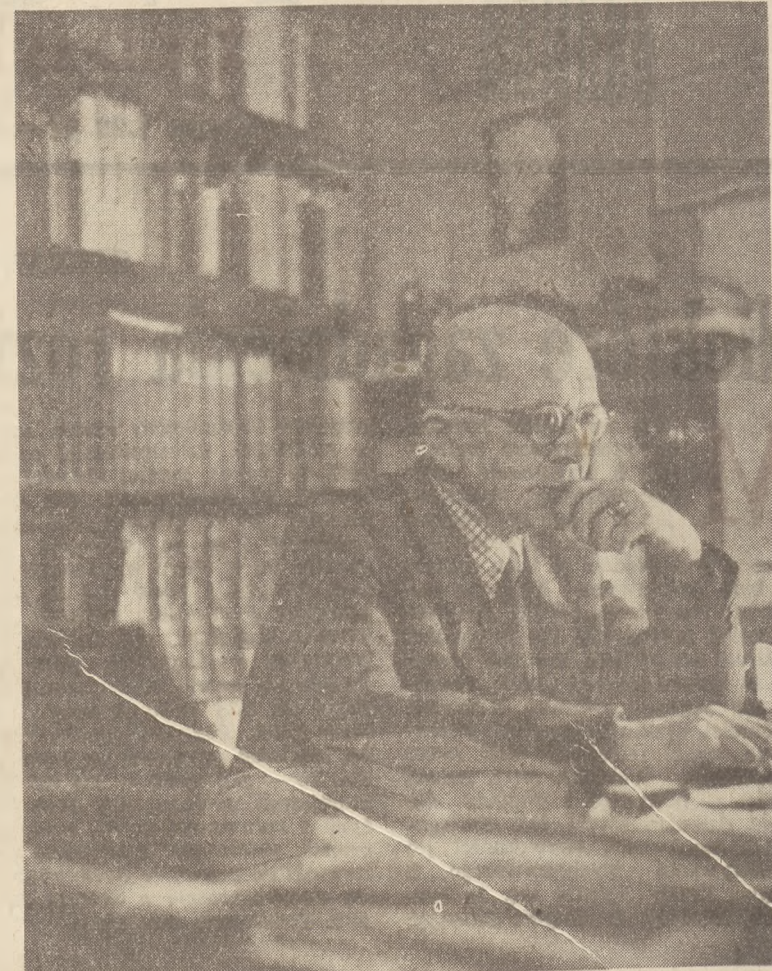
Toteż jakże bardzo nie ma racji Jastrun, gdy w szkicu o liryce Mickiewicza (przy analizie liryk łożańskich) sugeruje, że prawdziwie wielka poezja tylko odbija swój czas, ale się nie angażuje po określonej stronie aktualnych walk (patrz „Twórczość” Nr 6). Mnie, jak wykazywałem w swym „Sporze o Mickiewicza” co innego mówi cała twórczość Mickiewicza i wielkie liryki łożańskie. Podobnie aktywnie wobec swego czasu pojmuje rolę wielkiej literatury Dąbrowska, gdy pisze, że sztuka nie tylko wyraża swą epokę, ale ma jej coś nowego do powiedzenia.

Dodałbym, że wielka sztuka nie tylko jest zawsze zaangażowana po określonej stronie, ale jest zaangażowana po określonej stronie wielkiego frontu, cechuje ją konsekwencja ideowa, przywiązanie do historycznych dążeń i poprzez nie wrażliwość w stosunku do indywidualnych ludzkich bólów i radości. Konsekwencja ideowa pozwala rozumieć świat i przeto głosić prawdę.

Te zasadnicze linie walki, o których mówiłem są uchwytne, racjonalne. To nie są sprawy tajemnicze, nie są sprawy gustów i odczuć chwilowych. Gdy przyswajamy sobie naszą postępową ideologię, gdy staramy się przemysleć nasze dążenia, gdy analizujemy sytuację w naszym kraju i aktualne zadania społeczne, te linie podziału występują jasno.

Oczywiście potrzebne jest do tego myślenie dialektyczne, marksistowsko — leninowski pogląd na świat. Jak powiedział Lelelew „myślenie bez teorii jest rzeszotem, przez które przelatują woda i plew”. I artysta bez uźbrojenia teoretycznego nie podoła zadaniom, które przed nim stoją.

Krytyka bez tych wielkich problemów intelektualnych i kulturalnych — bez problemów politycznych staje się nieostrą, płaską, częściej politycznie mylną.



Poznałem go jesienią 1947 roku. Jerzy Wyszomirski był wówczas głośnym felietonistą, i to najprawdopodobniej ostrym, bo skłóconym z wszystkimi powagami życia literackiego, w mieście, które przez pierwsze lata po wojnie było stolicą kulturalną kraju, w Łodzi. Naszemu poznaniu zawinił czysty przypadek. Oddawałem właśnie w „Radio” pierwszy napisany w życiu felieton literacki, kiedy do pokoju, w którym potulnie wysłuchiwałem uwag młodszych od siebie, osiemnastoletniego „kolegi redaktora”, wszedł człowiek, który, zdawać by się mogło, był samą nieśmiałością. Zatrzymał się w progu, wycekując jak gdyby gestu czy słów zaproszenia. Mówił później, że jego, doświadczonego pedagoga, „osudzała” dwudziestoltnia młodzież dzisiejsza, zbyt dorosła i zbyt pewna siebie, jak gdyby posiadała już wszystkie rozumy i przanknęła wszystkie prawdy. Był to dla nas osąd nadto surowy. Nie było w nas tej pewności siebie, która zniechęca ludzi nie tylko do drażliwych — raczej „była to pewność historii”. Ale pamiętam, że w pierwszych naszych rozmowach najbardziej zważałem na to, by się znaleźć na poziomie odpowiedniej powagi. Dyskusyjnie byłem wszakże krainarnym, nie godziłem się łatwo ze zbyt ulotnymi formułami. Nie podobalem mu się z tych spotkań, o czym dowiedziałem się później. Nie dziedzicząc znikąd żadnych metafizycznych podrażnień, przyjmowałem wszystko na fanatycznie prosty rozum, nie okazywałem, bo i nie miałem, zrozumienia dla wątpliwej, „nieścisłej” filozofii człowieka, który wywołał ją sobie z gorzkich porachunków z życiem. Nie miał o to do mnie pretensji, zwałniał z winy powtarzając, że problemy „teleologii własnego życia” zjawiają się, kiedy się dochodzi lat starszych i zaczyna oglądać wstecz poza siebie. Z tych rozmoów wynosiłem drobne satysfakcje „naukowości” własnych poglądów.

Nawiązana znajomość przeszła później niepostrzeżenie w swobodną przyjacielską serdeczność. Odwiedzałem go w jego pracowni na Bandurskiego, korzystałem z wstępu rad i wskazówek, których nigdy nie skąpił — uczył mnie zamilowań do pięknej literatury rosyjskiej nie tylko osobistym przykładem lecz wprost słowami zachęty. Kiedyś przyniosłem i pożyczylem mu swego Uszakowa. Służyły mu te cztery tomy przez parę lat, wspomagały go — jak mi się zwierzał — między innymi w pracy nad przekładem „Państwa Golowiewów” Szczedryna. W czasie jednych z takich odwiedzin u niego siedziałem na krzeselku między biurkiem założonymi rękopisami kolejnego przekładu a drzwiami balkonu. Wyszomirski opowiadał, jak to w jakimś przekładzie znalazł komizny lapsus. Oryginał mówił: „Wypil stakan wódki i zakusił baranków”. Tłumacz zwyciężajny „obwarzanek” zamienił na coś bardziej treściwego i w przekładzie to zdanie brzmiało: „Wychylił szklankę wódki i przekasł baraniną”. Cytał dalej, pokazywał różne niespodzianki i figle przekładów. Później długo i z niezwykłą precyzją objaśniał możliwe rodowody błędów, podawał przykłady bardziej skomplikowane, całe zwroty frazeologiczne, idiomaty, na oczekaniu też odnajdował najtrafniejsze ekwiwalenty, dla wspomnienia pamięci sięgał po słowniki. W pewnej chwili odchylił się w bok i poza siebie, i obwodził ręką półki ze słownikami mówił: „Tu właśnie są najpiękniejsze książki, jakie w życiu poznałem”. Następując po tym nągnuty był dla nas obu czystą chwilą wzruszenia. Jak bardzo ten człowiek był rokochożny w swojej pracy.

Ocenę jego trud jak na to zasłu-

guje i skalę wielkiego talentu potrafią tylko studia sumienne, rzeczowe i głębokie, dochodzące samych korzeni jego stylu i koncepcji przekładów. Trzeba by dokonać wielu analiz, zbadać aury stylistyczną tłumaczeniowych pisarzy i utworów oraz poetykę jego translacji. Trzeba by wiele cytować, sprawdzać odpowiedzi i równoważniki myślowe i uczuciowe oryginału i przekładu. Tylko to byłoby w stanie dać jakieś wyobrażenie o leksykalnym, frazeologicznym i stylistycznym bogactwie warsztatu Wyszomirskiego-tłumacza.

Pamiętam jak dziś, kiedy opowiadał o swojej koncepcji przekładu Ostrowskiego. Tłumaczył wówczas jedną z jego komedii. Język, styl i słownictwo Ostrowskiego wiązały się z obyczajowością kupiecką i są pełne zwrotów właściwych owej warstwie, a więc pełne idiomatów, porządek i pogaduszek, zwartych sentencji i przysłów, tak nierzadko odrębnych i swoistych, że aż częstokroć dosłownie nieprzetłumaczalnych. Literatura polska nie zna jako tako gotowego wzoru słownictwa warsztatu kupieckiego. Wyszomirski poszedł na ciekawy eksperyment. Szukał materiału słownego u Fredry, „Pan Jowialski” — to malowidło obyczajowe szlachetczyzny polskiej — stanowił ową kopalinę przysłów i powiedzonek, którymi jak z rękawa sypie główny bohater komedii.

Dwa najpiękniejsze tomy Hercena z cyklu „Rzeczy minione i rozmyślenia” ukazały się w przekładzie Wyszomirskiego. Trzeba było być świetnym władcą słowa i myśli, aby ręką tak pewną jak czułą napisać tekst polski a tak wierny oryginałowi w tonacji, w wywołaniu pamięci dawnego z przeszłości dialogu, tej tak pięknej prozy publicystyczno-wspomnieniowej. Oto „Widoki Alp” — rozdział, w którym na samym wstępie snuje się opowieść o uroczach i szpetnych stronach Genewy. Może sam Hercen jest czasami bardziej dobitny, uderzający, mniej spozetyzowany i wywołnie wystrojony w słowo niż Wyszomirskiego, ale przekład czyta się, nie to że płynnie — z całym smakiem tej czułej i przebogatej gamy wspomnień. A tekst jest tak jedyny, nigdzie nie zalanie się słowo, nigdzie nie dotknięcie pustką intonacji zdanie.

Hercen Wyszomirskiego jest może bardziej od oryginału literacki — w sensie sublimacji języka. Wyszomirski sublimuje literacko tekst, podwyższa jak gdyby jego retoryczno-artystyczną kandydację, a Hercen, ten największy może epik dziewiętnastego stulecia, jest niekiedy zamysłony głęboko i podniosły, ale często surowy, groźny i zjadliwy. Granica odstępstwa jest tu jednak prawie nieuchwytna i złudna. Może czytając oryginał odczuwa się jego większą dynamikę.

O przekładzie „Życia Matwieja Kożemiakina” nie można mówić z dwudziątną nonszalancją. Przekład ten nazwano już kongenialnym.

Wyszomirski zostawił po sobie dzieło piękne. Można chyba bez przesady mówić o Bibliotece Wyszomirskiego, tak jak się mówi o Francuskiej Bibliotece Bova. Są w niej znakomite przekłady z języka różnych epok i różnych, bardzo różnych stylów pisarzy — z Fonvizina, Gogola, Leskova, Ostrowskiego, Szczedryna, Hercena, Lwa Tołstoj, Czechowa, Gorkiego aż do współczesnych Polewoja i Czajkina, którego nieukończony przekład powieści historycznej zostawił.

Trudno jest się pogodzić z myślą, że tej Bibliotece nie przybędzie już nowych tomów, że jej ramy zostały już na zawsze zamknięte, że lata następne nie przyniosą tak jak co roku nowych, pisanych jego ręką dzieł.

Waldemar Kiwilszo

Wielkie linie podziału

Nasza krytyka ostatnio nie widziała tych wielkich linii podziału, tego wielkiego frontu rozgraniczającego w dziejach — już co najmniej XIX i XX-wiecznej kultury — dwa obóz. W filozofii nazywają się one idealistycznym i materialistycznym, można mówić również o obozie postępu i reakcji, można mówić o obozie rozumu i przesądu. Ale chodzi tu o wielkie linie podziału, o historyczny front walki o kulturę i trzeba także widzieć naszą sztukę w ciągu ostatnich 10-lecia w tej perspektywie. Trzeba także widzieć i braki z tej perspektywy, trzeba stawiać konkretne propozycje poglądów krytycznym naszej sztuki i literatury właśnie w perspektywie tych wielkich linii podziału, aby literatura, gdy będzie chciała napiętnować społeczne zło, mogła występować po określonej stronie wielkiego frontu.

Wydaje mi się, że jest koniecznością takie szerokie spojrzenie, które nie częste było ostatnio w naszej krytyce.

Przykładem może być ostatnia polemika na temat twórczości Conrada w „Dziś i Jutro”. Krytyk tego pisma akceptuje twórczość Conrada, ponieważ ta broni pewnych istotnie cennych cech charakterów ludzkich, takich np. jak wierność. Krytyk jednak całkowicie pomija to co jest nierozdzielnie związane z moralną pedagogiką Conrada — jego filozofię, jego koncepcję losu ludzkiego, istoty ludzkiej walki o pełnię człowieczeństwa. A z tą filozofią już solidaryzować się nie podobna.

Jeżeli bowiem poprzestaniemy rzeczywistość na tak płytkiej i powierzchownej analizie i będziemy abstrahować od istotnej i głębokiej dyskusji filozoficznej, od dostrzegania właśnie tych wielkich zagadnień, tych wielkich linii podziału, to w istocie nie ma najmniejszego powodu, abyśmy jedne dążenia akceptowali, a inne odrzucał. Jeżeli jednak staniemy na gruncie wielkiego, istotnego wyboru, jeżeli będziemy wprowadzać do naszych dyskusji treść filozoficzną i jeżeli będziemy jasno widzieli, że walczymy nie tylko o nowy ustrój i nowe życie, ale i o zwycięstwo nowego poglądu, to wtedy zagadnienie oceny określonych dążeń, wartości, idei będzie się zupełnie inaczej kształtowało.

Kiedy chcemy mówić o tych wielkich i zasadniczych liniach dzielących historyczny front walki o kulturę, musimy widzieć dwie niewątpliwie sprzeczne sprawy.

Po pierwsze: jaką kulturę, jaką sztukę, jaką literaturę, jaki pogląd na świat, jaką ideologię, jakie cele wybieramy. Po drugie: musimy sobie zdawać jasno sprawę kto dokonuje tego wyboru, dla kogo jest ta kultura. I to jest chyba zagadnienie pierwsze, które powinniśmy rozważyć. Mamy istotnie imponujące cyfry naszych osiągnięć w zakresie upowszechnienia kultury w ciągu minionych 6 lat. Te cyfry są niezmiernie wymowne, ale sądzę, że należy

podejść do nich krytycznie, trzeba sobie powiedzieć, że poza tymi sukcesami ilościowymi nie zawsze kryją się również sukcesy jakościowe, a w naszych masowych instytucjach życia kulturalnego w gruncie rzeczy niejednokrotnie brak jest tego życia kulturalnego. Położone zostały dopiero nie zawsze doskonałe, ilościowe, materialne podwaliny pod kulturę istotnie powszechną, istotnie ludową. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że to jest i nasza sprawa, sprawa twórców. My musimy wiedzieć dla kogo i po co tworzymy, kto ma oglądać nasze obrazy, plakaty, do kogo mają trafić nasze książki, filmy, sztuki teatralne? Do czego mają zmobilizować, w co uzbudzić, w jakiej walce dopomagać, ku czemu kierować? Tymczasem musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że nie znamy nawet dokładnie tych spraw.

Badania terenowe, rzeczywiste badania stanu upowszechnienia kultury, recepcji poszczególnych dzieł i utworów dopiero są zapoczątkowane. Nie znamy dokładnie danych dotyczących stanu czytelnictwa. Te dane, które otrzymujemy przez odpowiedni instytut przy Bibliotece Narodowej są w stadium wstępnych badań. Otóż z tych szczyptych i częściowych danych, jakimi dysponujemy, wynika, że w gminnych bibliotekach czytany jest w istocie jeden współczesny pisarz polski — Newerly, a poza tym czytani są pisarze radzieccy, szczególnie ostatnich lat, czytana jest Orzeszkowa.

To są rzeczy, które coś mówią. Nie wolno nam wobec nich przechodzić obojętnie. Rezultatem troski o te sprawy jest również i nasza aktualna dyskusja. Jest to bardzo poważny sygnał, z którym musimy się liczyć, aby w istocie dotrzeć do jądra trudności, aby przezwyciężyć te zapory, które nas dzielą od mas narodu, od czytelnika, od masowego odbiorcy. Najbardziej jestem dumny nim bowiem z faktu, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości jest zapewniana przepraska, która dołączy do rezultatu dzieła mas nieoświeconych, mas przesądnych, mas ciemnych — od przodującej ideologii. Po raz pierwszy przodująca ideologia jest bronią tych mas. Chodzi o to, ażeby ta ideologia istotnie docierała do nich, aby rów dzielący mas od przodującej ideologii, przodującej kultury został istotnie zasypany.

Występują już w naszym kraju bardzo znamienne przejawy nowego życia kulturalnego. Mamy miliony listów, które otrzymuje Radio, które otrzymuje „Gromadza”, „Przysiółka” i inne gazety. Listów, które piszą nie plotkarze, ale ludzie, którzy myślenie, ludzie, którzy patrzą krytycznie, patrzą z nowym doświadczeniem życiowym na rzeczywistość. Ta olbrzymia kultura listów świadczy także, jakim samodzielnym życiem pulsują mas czekające na to, żeby właśnie sztuka dotarła do nich ze swoimi najbardziej wysublimowanymi ludzkimi treściami, najbardziej przodującym poglądem na świat.

W tragizmie metafizycznej samotności

Stykamy się ostatnio z tendencją artystyczną, która budzi mój niepokój krytyka. Niektórzy, młodzi zwłaszcza, pisarze zdają się szukać możliwości pogłębienia naszej literatury, przezwyciężenia jej schematyczności, otwarcia jej możliwości mówienia pełniejszej prawdy przez koncentrowanie uwagi na przeżyciach wewnętrznych możliwych izolowanej jednostki. Artystycznie wiąże to się z nawrotem formy monologu wewnętrznego zamiast epickiej relacji w trzeciej osobie. Dostrzegam te tendencje i u Konwickiego, i u Gruszczyńskiego, u Hłaski i innych. Nie wierzę w skuteczność tych poszukiwań. Nie przypadek bowiem te tendencje artystyczne były zarzucone przez naszą nową literaturę. Monolog wewnętrzny wyraża przecież idealistyczne przekonanie, że świat istnieje o tyle o ile jest przeżywany przez jednostkę. Forma monologu wewnętrznego nie pozwala autorowi być mądrzejszym od swego bohatera. Nie pozwala przeto demaskować jego zmistyfikowanych problemów. Nie pozwala sądzić bohatera, jego działania, moralności, losów, sądzić świata według kryteriów praktyki społecznej. Opisane tendencje artystyczne są raczej odchodzeniem od osiągniętych pozycji realizmu, aniżeli zbliżeniem się do jego pełni.

Suchanie prawdy o życiu wewnętrznym człowieka poprzez autoanalizę monologującego bohatera jest zawodne. Prawdę o człowieku i jego wnętrzu, jego motywach działania i siłach, którym ulega, mówią związki obiektywne tego człowieka z rzeczywistością, która jest poza nim. Rzeczywistością, która nie jest zmistyfikowaną projekcją jego świadomości, ale rzeczywistością, w której on działa, w której jest czynnie zaangażowany. To był bowiem okres świadomości. A nie jest tak, by w rzeczywistości istniało to tylko i tak właśnie co i jak jednostka przeżywa.

Gruszczyński napisał niezmiernie interesującą i ambijną sztukę, drukowaną częściowo w „Nowej Kulturze” — „Klucz do przepaści”. Sztuka ta usiłuje ukazać dramat współczesnego człowieka, któremu szczególnie i człowieczeństwo odbiera straszliwe napięcie sprzeczności imperializmu. Bohaterem sztuki jest lotnik amerykański, który rzucił bombę na Hirozimę. Ten czyn łamie go całkowicie. Szuka ucieczki i powrotu do człowieczeństwa w klasztorze. To jest zgodne z wiadomościami, które gazety podały na temat rzeczywistego sprawcy wybuchu atomowego w Hirozimie.

Gruszczyński w tragedii swego lotnika chce pokazać robaka ludzkiego, którego ostatecznie zdeptył potworne siły sprzeczności społecznych imperializmu. Robak ludzki miota się bezradny.

Lecz niestety tego wszystkiego nie ma wyraźnie w utworze. Dramat lotnika pozostaje zmistyfikowany. Pozostaje nieosądzony. Autor bowiem izoluje go w nyalnym prowincjonalnym klasztorze. Ukazuje go w kręgu rodziny. Z dala od właściwych aktorów wielkiego dramatu „wielku atomowego”. O sprawie wiemy

tylko, ile jest jej świadom zbłąkany, młotający się bez wyjścia, zdeptyany człowiek. Gruszczyński przejmująco ukazuje symboliczny tragizm losu swego bohatera, głęboko obnaża jego spustoszone wnętrze. Rozumiem, że w klimacie zbrodni atomowej ginie człowieczeństwo, znikają możliwości ludzkie, prostego szczęścia, rodzi się straszliwe kalectwo. Ale właśnie wyizolowanie bohatera, zerwanie jego związków z obiektywnym światem, zamknięcie w samotni klasztornej daje pozorne pogłębienie. Ponieważ ani autor, ani my nie szukamy metafizycznych źródeł dramatu owego lotnika, nie szukamy ich w głębi skazanej natury ludzkiej, ale w tragizmie metafizycznej samotności człowieka, brak nam w dramacie podstaw do sądu nad bohaterem. A ten sąd decyduje o głębokości pojrzenia artysty i prawdzie sztuki.

Spojrzenie od wewnątrz, do strony zmistyfikowanej świadomości bohatera, poprzez możliwości jego monologu zatrzymuje nas właściwie przed wielką kurtyną zakrywającą prawdę o tragedii współczesnego człowieka zagrożonego przez potworne siły zbrodni przeciw ludzkości. Tylko obnażenie rzeczywistego charakteru konfliktu, nazwanie rzeczywistych sił, które w nim uczestniczą daje podstawę do sądu moralnego nad bohaterem. Bez tego sądu nie ma prawdy, nie ma tragizmu. Brak tego sądu jest rezygnacją z podstawowego prawa i obowiązku sztuki.

Jeśli tragizm bohatera, tak jak to jest w sztuce Gruszczyńskiego, ma właśnie między innymi polegać na tym, że człowiek nie potrafi prawdziwie sądzić sił, które go niszczą i zabierają mu szczęście, trzeba stworzyć podstawę sądu nad bohaterem i jego tragedią, ukazując w dramacie samym rzeczywisty charakter konfliktów — niezależnie od świadomości bohatera. A to dzieje się, gdy bohater na oczach widza wchodzi w określone związki obiektywne ze światem, związki, które można mierzyć miarą praktyki społecznej.

Temu wszystkiemu nie sprzyja droga spojrzenia od wewnątrz jednostki, droga monologu wewnętrznego, droga izolacji bohatera, z ich idealistycznym sensem filozoficznym.

Ktoś spyta — a przecież część IV „Dziadów” Mickiewicza to tylko wielki monolog? Tak, ale monolog pozytywnego bohatera, który prawdziwie sądzi świat na miarę wiedzy o rzeczywistych konfliktach najbardziej przodujących ludzi swego czasu. Czy nie można więc i dzisiaj właściwie wyzwać możliwości artystycznych krytykowanych tu tendencji? W zasadzie droga wszelkich poszukiwań stoi otworem przed artystą. Ja, jako krytyk, wyrażam jedynie niepokój i niewiarę w stosunku do określonych prób na podstawie braków i pomyłek artystycznych znanych mi realizacji. Przyszłość może kryć jeszcze inne możliwości...

Stefan Żółkiewski

Z referatu wygłoszonego na XVI Sesji Rady Kultury i Sztuki.

TADEUSZ KONWICKI i ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

TYDZIEŃ W HELSINKACH

Do Helsinek płynęliśmy pełne dwie doby. Do tego należy jeszcze dodać prawie dobę spędzoną — dzięki uprzejmości miłego WOP-u — na statku w Gdańsku. A więc przez prawie 70 godzin mogliśmy bez przeszkód oddawać się kontemplacji. Morze było pogodne, fala niewielka, a marynarze „Śląska” oraz ich kapitan Tomaszewski — serdeczni i uczynni.

A już zdawało się nam, że jednak w tę podróż nigdy nie wypłyniemy. Porucznik WOP-u, surowy służbista, zabrał nasze cztery paszporty i zamknął się w oddzielnym pokoju, badając przez godzinę. Jakie tam wyprawiali praktyki z naszymi dokumentami — nikt nie wie. Po godzinie zjawiał się w drzwiach i poosepnym głosem spytał:

— Zaświadczenie o zdaniu książeczek wojskowych obywatele posiadacie?

W nagłym przerażeniu spojrzeliśmy na siebie. Nie posiadaliśmy.

Porucznik wrócił do swego osobnika, pozostawiając wśród nas olbrzymi, przeraźliwy pytańnik psychologiczny.

Nie minęło 20 minut, gdy ponownie otworzyły się drzwi. Porucznik-służbista spytał poosepnym głosem:

— Zaświadczenia o zdaniu książeczek wojskowych obywatele posiadacie?

Nie posiadaliśmy. Spróbowałem się tłumaczyć, że za granicę jadę już piąty raz, że leciałem samolotem, przekraczałem granicę w kilkunastu punktach podróżując pociągami i nikt nigdy nie żądał ode mnie podobnego dokumentu.

Oficer wysłuchał z nieufnością moich wywodów i znów zamknął się w swoim pokoju. Po niewielkim kwadransie ukazał się w drzwiach i spytał poosepnie:

— Zaświadczenia o zdaniu książeczek wojskowych obywatele posiadacie?

Nie posiadaliśmy. Stał przez chwilę, a cisza była nam przykra, oskarżała nas. Gdy ukrył się w swoim pokoju, spojrzeliśmy za okno, gdzie słońce układało się już do nocnego spoczynku.

Zaczeliśmy okazywać pełne objawy zniecierpliwienia. Nastrój stał się tak ciężki, że wreszcie załamałem się i w nagłym porwywie gniewu przekroczyłem próg sanktuarium.

Porucznik na mój widok uniósł ciężko głowę i spytał poosepnie:

— To znaczy, że obywatele nie macie zaświadczeń o...

Nastąpiła tu krótka utarczka słowna, w wyniku której po półgodzinnych telefonach przybito nam pieczątki w paszportach i mogliśmy udać się na statek.

*

Wspominałem już, że na statku mieliśmy sporo czasu do rozmysłu. Płynęliśmy na kongres pokoju w Helsinkach. W ciszy, rozgrzanej jakutecz przypomniałem sobie początki tego ruchu. Przywoływałem z pamięci dni wrocławskie 1948 roku, gdy w mieście tym zgromadzili się intelektualiści i artyści całego świata, by porozmawiać o sprawach pokoju. Ludzie, którzy się wtedy tam spotkali, poprowadzili później rozszerzającą się z miesiąca na miesiąc walkę przeciwko wojnie.

Miło mi było pomyśleć, że impuls do tej olbrzymiej akcji, jakiej przedem nie znał świat, dali polscy intelektualiści. Ze być może w tamtych godzinach nie przewidywali nawet rozmach i zasięgu ruchu, który inicjowali.

Pamiętam te pierwsze spotkania sił pokoju. Były one radosne, sympatyczne, naiwne jak pierwszy dzień w klasie nowego roku szkolnego. Cieszyliśmy się samym procesem poznawania, ściskania sobie dłoni, rozdawaliśmy się świadomością, że możemy mówić wspólnym językiem, że jesteśmy sobie podobni. Tak więc pierwsze kongresy pokoju były świętem braterstwa, odświętną ulicą, gdzie spotykali się ze sobą zniekami wojny ludzie różnych stron świata. W tym czasie jednoczyliśmy się, pochłonięci całkowicie owym pięknym procesem.

Następnie ruch obrońców pokoju przeszedł do ofensywy. Staliśmy się szóstym wielkim mocarstwem wpływającym na losy świata. Helsinki były nowym zgromadzeniem parlamentu tego mocarstwa.

Nasi znajomi, pocztowawczy nas kilku zleśkiewiczami za szczytki korespondencji, które drukowało nam „Życie Warszawy”, pytała nas zwykle: jak tam było w Helsinkach? I trudno nam jest odpowiedzieć w jednym zdaniu.

Zgromadzenie sił pokoju w stolicy Finlandii miało charakter ściśle polityczny. Przeżyła się już forma oświeceniowych spotkań. W Helsinkach debatowali politycy, ludzie szukający skrupulatnie nowych dróg do odwrócenia światowemu. Dla nas, młodych literatów, było to mniej atrakcyjne, mniej tu, niż zwykle, odnawialiśmy wzruszeń. Surowa dyscyplina intelektualna, taktyka polityczna omijała naszą wyobraźnię. Nawykli do — być może łatwych — uniesień, przyglądaliśmy się zgromadzeniu z pewną rezerwą.

Trzeba też od razu powiedzieć otwarcie, że posiedzenia plenarne nie były specjalnie atrakcyjne. Poza kilkoma przemówieniami ograniczały się przeważnie do ogólnego opowiadania się za miejscem politycznym na ziemi. Rzeczywista walka koncepcyjna, dynamiczne ścieranie się poglądów odbywało się na komisjach.

Jak ogólnie wiadomo, do Helsinek przybyli po raz pierwszy przedstawiciele ugrupowań dotychczas nam o ile nie wrogich, to przynajmniej niechętnych. Znalazło się tu też sporo reprezentantów przeróżnych sekt, dziwaków i fanatyków w podeszłym wieku. W pierwszych dniach rozstrzygali się wzajemnie niby członkowie potajemnych stowarzyszeń. Widzieliśmy, jak pokazywali sobie pełnomocnictwa od swoich zwierzchników, rulony papierów opatrzone kolorowymi pieczęciami. Później jakoś ich pochłoniął kongres, zginęli nam z oczu i nie wiemy, czy pozyskali tu nowych współwyznawców, czy może raczej ich pozyskał ruch pokoju.

Rzecz ciekawa, że wszyscy nowi ludzie, przybyli do stolicy Finlandii na nasze zgromadzenie, nasławieni byli na uzyskanie porozumienia z tzw. w ich nomenklaturze „komunistami” czyli akcją obrony pokoju. Wielu z nich mówiło szczerze, bez ukrytych intencji, bez prowokacji. Przy wszystkich swoich zastrzeżeniach starali się uczciwie znaleźć

w tamtym czasie świadomość ludzkości nie była zespolona tak jak teraz, gdy objęła sprawnym, energicznym organizmem wszystkie narody i rasy świata, wszystkie wyznania i religie, wiele orientacji filozoficznych i poglądów. Sympatyczny jest ten pesymizm starego reakcjonisty wyrażający się w słynnym stendhalowskim powiedzeniu (przepraszamy za parafrazę): „Prawdziwa miłość rzadko się spotyka, ale poszukiwaniu jej warto oddać życie”. Zresztą już samym akcesem do ruchu pokoju przeczy sławny Bertrand Russel swemu sceptycyzmowi.

Powiedzieliśmy już, że obrońcy pokoju nie spotykają się teraz, żeby zapewnić sobie o wzajemnej sympatii. Ruch ten, ośmielony wieloma sukcesami, wkracza w politykę międzynarodową. I to ostatnie zgromadzenie było jednym z ogniw walki o przywrócenie normalnej temperatury na ziemi. Nie odbywało się ono na abstrakcyjnej wyspie radości przyjaźni: za nim były ważne wydarzenia międzynarodowe, przed nim — konferencja genewska.

Śród wielu rozmów i spotkań nachodziły nas czasem wątpliwości. Wielu „nowych” rozumiało politykę naszego obozu jako ciąg ustępstw wobec Zachodu. Nie widzieli oni — i mogli mieć zresztą do tej ślepoty prawo — że polityka nasza jest historyczną konsekwencją

Zacznijmy od samych gospodarzy. Jak wiadomo, wszystkie uogólnienia na temat tak zwanego charakteru narodowego są dosyć ryzykowne: ktoś, kto by spośród Polaków znał tylko jednego Kuśmierzka, mógłby nas pomylić z Ajnami. Jeśli chodzi o Finów, to tylko jedna ich cecha wydała nam się powszechna i niewątpliwa, a mianowicie: że nie są to ludzie wylewni. Nasi przyjaciele nie rzucali się nam na szyję; nasi wrogowie nie obrażali nas wyzvskami. Można by rzec, że przez cały czas byliśmy o t o c z e n i s p o k o j e m. A jednak od chwili zejścia na ląd czuliśmy, że miasto wokół nas jest rozdarłe. Pierwszej nocy na afiszach witających nasze Zgromadzenie nalepiono czerwone plakietki z wizerunkiem gołębia, który obrzuca świat bombami. Nie widzieliśmy w całej ani jednej: o świecie zostały przez kogoś zdarte. Na którymś ze słupów ogłoszeniowych znaleźliśmy ulamany zęb od kobiecego grzebienia tkwiący w zeszytowanym papierze: był to jedyny ślad po naszych porannych sojusznikach.

We wszystkich tramwajach traktowano nas jednakowo — uprzejmie, lecz powściągliwie; jednakże niektóre z nich były ozdobione chorągiewkami reklamującymi oranżadę „Jaffa”, inne miały chorągiewki z gołębiem pokoju. Nie będziemy ukrywać, że z początku brak nam było serdecznych uścisków ręki i

się zorientować, czy już świta, czy dopiero kończy się zmierzchać. W każdym razie można się było domyślać diabli wiedzą czego...

Niezmiernie podnieceni znaleźliśmy się wśród tysięcy ludzi, którzy grzecznie stali sobie przez pięć godzin na morskim wybrzeżu, słuchając jakiegoś poematu przez megafon i czekając aż na skalach zapłoną ogniska. Zapłonęły. Potem zgasyły. Jak na fińskie warunki, zrobiło się niemal szaro. Z drżeniem oczekiwaliśmy, czy coś jeszcze nastąpi. Nastąpiło: wszyscy potulnie ustawili się w ogonku do autobusu, który partiami zabierał ich do miasta. Trwało to, zgodnie z zapowiedziami, rzeczywiście aż do świtu.

Innym razem byliśmy w kinoskopie, imponującym zresztą i bardzo eleganckim. Sala wypełniona była w trzech czwartych młodymi ludźmi, którzy przyszli tu ze swymi dziewczętami. Wydawało nam się względnie naturalne, że póki płonęły liczne lampy, każda para siedziała ukośnie i sztywno. Potem rozpoczął się film. Olbrzymi ekran sięgający od ściany do ściany rzucał dosyć odblasku, byśmy mogli rozglądać się ukradkiem po najbliższych sąsiadach. Przez cały czas siedzieli wyprostowani jak kompania honorowa; żaden nie nachylił się do swojej panny, żaden jej nie wziął choć za rękę. Ach, jakie to było obyczajne...

Tym zabawniejsza wydaje się ich sympatia dla amerykańskich filmów, i to nie tych z rzędu „Małego uciekiniera” czy „Marty”, lecz właśnie tamtych prymitywnych, tandetnych. Tytuł już dziennikarzy żyje u nas dostаточно z wyśmiewania hollywoodzkiej szmyry, że po prostu wstyd do tej sprawy wracać raz jeszcze. Ale fakt pozostaje faktem: czterdziści kin wyświetla w Helsinkach takie właśnie obrazy. Na miły Bóg, trudno wszystkich czterdziestu właścicieli podejrzewać o to, że są na zoldzie „Metro Goldwyn Mayer”. Grają to, co się tam podobia! Działają tu jakaś skomplikowana zasada rekompensaty: ludzie, którzy robią sobie sceny zazdrości półgłosem, chrząkają radośnie widząc, jak „Jungle Jim” łamie Negrom nosy! „Jungle Jim” czyli „Jim z dzungli” lub — wedle gustu — „Jim Dzunglowy”, to nie kto inny, jak sam Johnny Weismüller, ongiś sławny Tarzan, dziś już sklerotyczny, poddał się, starszy pan. Jeszcze szatkuje nożem krokodyla, ale już mu trudno wbiec na pięterko po schodach. Filmy, w których gra ten załosny, emerytowany Tarzan, prawie nie nie kosztują producenta: robi się je bez użycia kamery, przy pomocy samych tylko nożyce. Po prostu wybiera się trzydziści ciekawskich scen z trzydziestu starych filmów i skleja je do kupu, nie dbając nawet o logikę. W jednym kadrze „Jungle Jim” skacze do wody, w drugim wychodzi na brzeg suchy, i tak dalej, nonsens za nonsensem, bzdura po prostu bezcelna, powstała z najgłębszej pogardy, dla widza, któremu za rozrywkę starczyło na samo bicie po mordzie.

A jednak filmy te idą i cieszą się powodzeniem na równi z tysiącami obrazkowych historyjek królujących w kioskach i gazetach. Prasy sensu stricto, prasy nie rysowanej i nie fotograficznej, lecz pisanej, widać tam — jak na nasze stosunki — niezmiernie mało. Doprawdy, trudno dojść, w czym leży istota tego przeżycia: czy w konkurencyjności tamtych czy też w wysokiej cenie tych periodyków. Albowiem trzeba dodać, iż przeciętny dziennik kosztuje tu tyle co kilogram chleba. Ładnie by wyglądał nakład „Ekspresika”, gdyby za numer trzeba było płacić około trzech złotych.

Najbardziej bolesnie dotknął nas ten proces amerykanizacji kultury w księgarniach: nawet dobrym książkom trzeba dawać rewolwerowe okładki, aby mogły się przemycić wśród zalewu brechty. Witryny księgarskie są też najdobitniejszym przykładem wywrócenia do góry nogami wszelkich hierarchii artystycznych: kompletny groch z kapustą, jakieś uda w siatkowych pończochach obok Dostojewskiego, Hemingwaya pomiędzy stosami kryminałów, wszędzie na poczesnym miejscu królują „Przemienie z wiatrem”, po bokach skromnie kryją się piękne książeczki z reprodukcjami Gauguina i Van Gogha. (W nawiasie — ciekawostka wydawnicza: w jednej z księgarni podobnych, toutes proportions gardées, do naszego Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy, znaleźliśmy jedyny polski tytuł wydany w tym roku w Monachium, a mianowicie „Tiere, Menschen und Götter” Ossendowskiego...)

W tych warunkach los pisarza jest nie do pozazdroszczenia. Donner, o którym wspominaliśmy, wydał niedawno trzy powieści, ale żyje z pracy dziennikarskiej. Przeciwny nakład książki wynosi w Finlandii tysiąc egzemplarzy i starczy co najwyżej na drobne wydutki. Z literatury mógłby tam wyżyć chyba tylko autor „Kalevali”, co, kiedy nie doczekał... Jeśli chodzi o znajomości piśmiennictwa polskiego, to na jej nadmiar nie można się, uskarżać. Żona Donnera, a więc nie ktoś pierwszy lepszy, lecz kobieta obracająca się wśród pisarzy (nota

bene bardzo miła młoda osoba) nie mogła sobie ani rusz przypomnieć, kim był Mickiewicz: generałem, trenerem bokserkim czy bakteriologiem; uspokajała nas jednak, że samo nazwisko nie wydaje jej się obce. A było to, trzeba zważyć, w Roku Mickiewiczowskim, ogłoszonym przez UNESCO!

Z drugiej strony — bądźmy sprawiedliwi! — wiele się od Finów można nauczyć. W czasie naszego pobytu w Helsinkach mieszkaliśmy obaj na wyspie Kulosaari, a więc w dzielnicy już właściwie podmiejskiej, podobnej do naszego „Konscancina”, tylko o wiele bogatszej i położonej znacznie bliżej śródmieścia. Otoż w odstępach co najwyżej kilkusetmetrowych widnieją tam na słupach przydrożnych czerwone, zaplombowane skrzynki; w każdej z nich mieści się specjalny telefon, mający bezpośrednie i natychmiastowe połączenie z pogotowiem, strażą pożarną, policją itp. W razie wypadku nie trzeba długo czekać na pomoc.

A oto inny przykład rozsądnej organizacji życia municypalnego, z całą pewnością nie związany organicznie z kapitalizmem i możliwy do zrealizowania — po pewnych modyfikacjach — także u nas. Otoż w Helsinkach prawie nie spotykaliśmy postojów taksówek. Zamiast nich sterczą z bruku żelazne słupki opatrzone czymś w rodzaju słupki automatów telefonicznych. Po wrzuceniu odpowiedniej monety automat samoczynnie przywołuje samochód z bazy. Dzięki temu sferzyerzy nie muszą godzinami wystawać na pechowych postojach, pasażerowie zaś mogą w każdej chwili i w dowolnym miejscu mieć do dyspozycji taksówkę. Kłopot u nas byłby tylko jeden: brak nam monet o wartości większej niż złoty. Ale pogłowić się nad jakimś rozwiązaniem nie zaskodzi.

Ale nie tylko te nowalijki warto by przeplacować do Warszawy. Zainteresowały nas także (i to bardzo) tak zwane „Non stopy”. Są to kina, które wyświetlają swój program bez żadnej przerwy od wczesnego popołudnia aż do północy. Program składa się z kilku kolorowych kreskówek (coraz rzadziej, niestety, Disneyowskich), z krótkich skeczów, nowelek, małych filmów dokumentalnych oraz kronik z całego świata. (Podkreślamy słowo z c a ł e g o, bo widzieliśmy i radzieckie, z polowań na Syberii; cieszyły się uznaniem widzów). W sumie tworzy to dość urozmaiconą salatkę wiosenną obliczoną mniej więcej na godzinę, kreconą zaś, jak się to mówi, „w koło Wojtek”. Do takiego kina wchodzi się w dowolnym czasie i opuszcza się je w chwili, gdy składanka zaczyna „lecieć od nowa”.

Orzywiście, że jak większość tujszych kin (z wyjątkiem chyba dwóch: w jednym grano Chaplina, w drugim — od bardzo dawna czyli z powodzeniem — radziecki obraz „Romeo i Julia”), a więc jak w większości kin, tak i tu czuć napór Hollywoodu, ale czy nie można by zorganizować u nas „Non stopu” z dorzecznym, postępowym programem? Wydaje nam się, że kto jak kto, ale już przede wszystkim Wytwórnia Filmów Dokumentalnych powinna się tym zainteresować: przecież przy dzisiejszej organizacji naszego rynku kinowego WFD jest w gruncie rzeczy wytwórnią bez odbiorcy! Tu tylko jedno male, lecz nieblahe zastrzeżenie: „Non stop” aby istniał, musi mieć dużo r o t k i c h i c i e k a w y c h numerów. „Uwaga, chuligan!” — w sam raz, „Wesoła!” już ciut za długi. Kreskówki niedozwolne! Prosimy pamiętać!

Trudno nam powiedzieć, jak „Non stopy” wpływają na kształtowanie się — na przykład — politycznego oblicza Helsinek. Byliśmy w Finlandii za krótko, aby o tym sądzić, poza tym mieliśmy sporo trudności przy porozumiewaniu się z miejscowymi. Należy jednak przypuszczać, że wpływ ten nie jest najzdrowszy. Ale pod jednym względem „Non stop” zasłużył sobie chyba na wdzięczność mieszkańców: w zakresie oddziaływania na wygląd ulicy. Liczne, często wyświetlane pokazy mody wycisnęły swoje piętno nie tylko na ubiorze, lecz nawet na sposobie poruszania się Finów. Nie będziemy ukrywać, że dzięki temu tłum uliczny nabrał jakiejś swoistej gracji, miłej dla oka. Można się nie zachwycać „podszywką” tych pokazów mody, lecz trzeba jasno widzieć, że z tym sprawą ma się trochę tak jak ze sportem wyzownym: nie ma bez niego szeregowej fali interesującego amatorstwa.

Jeśli chodzi o samą ulicę, to trzeba przyznać, że sprawa ona niezwykle dostatanie wrażenie: mężczyźni co do jednego w eleganckich prochowcach sztych na wzór angielski, wszystkie kobiety, nawet zupełnie niezamężne, w nylonach (bardzo zresztą tanich: koszt jednej pary równa się kosztowi czterech paczek papierosów), wszystkie w dwubarwnych, najczęściej importowanych płaszczkach, które można nosić na obie strony.

Pierwszego dnia byliśmy — co tu gadać! — nieco zaskoczeni wyso-

(Dokończenie na str. 7)

JAN CZARNY

ZIELONY ANIOŁ

W jadalni z widokiem na pompę
Nad brązowym żyrandolem
Z mlecznymi kłozkami w kształcie szyszek,
Podobny do glinianej świnki-skarbonki,
Starannie wygolony, ze strzyżonym wąsem,
Trzaskający zamkami nowej łeczki,
Szeleszczący kwiatami i kalkami,
Pobrzękujący blaszanym łańcuchem na szyi,
Wyculający wypięki na twarzy matki,
Pachnący brylantyną i wódką,
Groznie śliniący olówek,
Ze spoczną lysińą zamiast aureoli,
Pod sufitem mrocznej jadalni —

Zawisi sukienny, zielony anioł —
Komornik.
Niefortunne interesy mego ojca sprawiły,
Że nie opuszczał nigdy naszego domu —
Czarny, przysadzisty, dębowy kredens
Sznureczkami owijał starannie,
Topił nad świecą lak i zawieszał
Na zamkach błyszczące pieczęcie.
I tylko ręcznie palce mego ojca
Potrafiły rozwijać sznureczki —
Wymywał z kredensu
Widlice i noże.

SĄSIAD

Skąpstwo było drogą do bogactwa —
Każdy gwóźdź podnosił na drodze,
Skupował szkło, żelastwo, olów,
Hudował krowy, kury, a w sadzie
Kazał chłopcom gwiżdżeć na drzewach,
Aby nie jedli zrywanych czeresni.
Dzierżawił pola pod żyto i karłofole,

Nie spał po nocach i liczył pieniądze,
Podnajmował walcące się domki
Na ulicy, zwanej Nowy Światem.
Pracował ciężko z żoną już siwą;
Pewnego dnia zakuli go nożami.
W sporze o jedną tysiącną
Jego olbrzymiego majątku.

TRZY ŚMIERCI

Kiedy umarł mój ojciec, umarł jego zegarek
S'ara stalowa cebula, którą cisnął w głowy
Niczycielich mu ludzi, Nie nie rozumiał
Kiedy musiał odejść. Czas nieprzychylny
Czyhał za progiem razem z wierzycielami.
Pomógł nam bogata ciotka. Miłościwi fabrykanci
Złiwali się nad biedną wdową. Przysiali
Koperkę na nazwisko nieboszczyka

Z podpisanymi przez niego weksłami.
Kiedy moja matka umarła,
Kiedy umarł mój brat,
Umarło dwadzieścia milionów ludzi.
Świat kipiał w wielkim tygu śmierci
I jeszcze dzisiaj wrząca masa
Nie zastężyła w nowej formie.

*

wspólną platformę myślową. Uderzyło nas szczególnie, że ci wszyscy „nowi” nie starali się dopatrywać w krajach obozu pokoju jakiejś maszynerii zła komunistycznego, jakiejś groźby dla świata. Widać było wyraźnie, że propaganda amerykańska już się przejadła, że ludzie ideowo nam niechętni patrzą w naszą stronę trzeźwiej i uczciwiej. Bardzo ciekawe było dla nas przemówienie Sartre'a. Mówił bardzo powściągliwie i niezbyt efektownie, ale to co powiedział było godne zastanowienia. Powtórzył jeszcze raz mocno myśl, która się już przewijała w wystąpieniach innych mówców zachodnich, że groźba wojny, napięcie stosunków międzynarodowych nie sprzyja również życiu wewnętrznemu krajów obozu pokoju. Ze wiele nienajlepszych przejawów naszego współczesnego bytu narodowego zawdzięczamy naszymu silnej agresji. Sartre rozprawił się też z nową koncepcją propagandy amerykańskiej, koncepcją neutralizacji krajów, które dotychczas walczyły w czołowie narodów realizujących postęp.

Sporo dyskusji wywołał sceptyczny list angielskiego filozofa, Bertranda Russela. Russel niezbyt optymistycznie wyraził się o możliwościach praktycznych ruchu obrońców pokoju, choć sam w swoim liście zgłosił do niego akces. Sceptyczny Anglik powoływał się przy tym na przykład ostatniej wojny. Twierdził, że Hitlera powstrzymała od użycia gazów nie obawa przed opinią światową, lecz świadomość, że istnieją dostateczne przeciwie środki techniczne. Wielu mówców plemizowało z Russellem. Przytaczali oni fakt, że Niemcy hitlerowskie miały najpotężniejszy przemysł chemiczny, któremu nikt nie mógł zagrozić. W zacierzeniu dyskusyjnym różowali ile wlezie zagadnienie siły obrońców pokoju. Nam się wydawało, że prawda leży gdzieś pośrodku. Hitler nie żenował się specjalnie opinią światową, jeśli lekką ręką zagazował kilka milionów ludzi i zmioł z powierzchni ziemi Warszawę. Ale jednocześnie

cia rozwoju krajów socjalizmu. Ale wszakże, przynajmniej do tego trzeba, że nowa nas trochę ta konwencja, w której posługiwali się muśsieliśmy kategoriami państwowymi a nie społecznymi. Gniewała nas ukryta gdzieś tam pod pokójnymi słowami cicha nadzieja, że okazemy się w końcu tradycyjnymi salonowcami a nie ludźmi, którzy mają ambicję budować świat na nowoczesnych, słusznych zasadach. Chcemy przecież — u licha — pokoju w imię dobra ludzkości a nie ze strachu, którego ceną byłoby wyrzucenie się światopoglądu opłaconego trudem sumienia.

Redaktorzy naczelni są jak kobiety: wybaczący wszystkim z wyjątkiem cudzołóstwa. Tymczasem my obaj podcaż naszego pobytu w Helsinkach cudzołożyliśmy prawie każdą noc z „Życiem Warszawy”, o-fiarowując mu szarmantnym gestem to co wedle praw ludzkich i boskich należało się „Nowej Kulturze”. Nic też dziwnego, że wracaliśmy nękami wyrzutami sumienia: w pięciu korespondencjach obejmujących — lekko licząc — ze dwadzieścia stron maszynopisu, wypukaliśmy się dość gruntownie z naszych wrażeń dotyczących zarówno Kongresu jak miasta, w którym się ten Kongres odbywał. Dlatego też po nocach maczaliśmy nam jak zmora cień Pawła Hoffmana zaglądnącego do naszej — pustej już, niestety — reporter-skiej skąkwki. Dzięki Bogu, tak-towne i jak się okazuje nad wyraz koleżeńskie „Życie Warszawy” oszczędziło nam gorczy przyszej Canossy: redaktorzy dziennika, zachowując zresztą wobec nas całkowitą dyskrecję, usuwali z naszych korespondencji wszystkie co nie było poczęte z ducha PAP-u. Pomyśleć, co za ulga: wrócić i znaleźć na książeczce oszczędnościowej to, z czym się człowiek już od dawna pożegnał i rozstał! Pełni cichej wdzięczności, możemy więc dzielić się z czytelnikami tym cośmy tam przeżyli.

przyjaznych uśmiechów, lecz daleko — tamto wymagało nieco większej odwagi.

Dzień otwarcia obrad sprawił nam odrobnie zawodu: przed wejściem do Messuhali zgromadziło się może ze czterdziści osób, a i to byli przeważnie reporterzy. Większość przechodniów nie zadawała sobie trudu, by choć przez ramię rzucić na nas okiem. Byliśmy dotknięci, że — jeśli nie liczyć organizatorów Zgromadzenia — w całym czterystutysięcznym mieście nie znalazło się nawet stu sprawiedliwych. Ale niesprawiedliwi byliśmy właśnie my: zapomnieliśmy spojrzeć na zegarek. Kongres zaczynał się wczesnym popołudniem i ci, którzy łamali grzebienie, zrywając obelżywe ulotki, znajdowali się o tej porze w warsztatach. W jakiś czas potem mogliśmy ujrzeć ich na wieczornym wiecu zwołanym przez tujejszych Obrońców Pokoju; nie byli to ci ludzie, których za dnia spotykaliśmy w śródmieściu. A przyszło ich piętnaście tysięcy.

Mieliśmy już wówczas za sobą prawie tydzień pobytu w Helsinkach i zdawaliśmy sobie sprawę, że te umiarkowane owacje i pogodne półuśmiechy są oznaką najwyższego lub — jeśli kto woli — nieo-kiełzanego uniesienia. Cóż począć, prozę czytelników, wybuchowi to ci Finowie nie są! Parę dni wcześniej mieliśmy okazję być świadkami wielkiej uroczystości ludowej, do której gospodarze sposobili się z biciem serca. Było to Święto La-ła, a więc coś w rodzaju naszych Sobótek. Już od południa ruch na ulicach zaczął ustawać, wejścia do kin zastawiano płotkami, zamykano sklepy. Koło czwartej miasto opustoszało: kto żył udał się na okoliczne wypisy połączone z ładem drewnianymi moskami. Jeden z naszych miejscowych przyjaciół, pisarz Jörn Donner, zapowiadał nam, unosząc przy tym brwi tajemniczo, że zobaczymy ho, ho... Tu urwał w sposób wiele mówiący i po chwili dorzucił, że to będzie trwało aż do świtu. Termin ten był zresztą dość nieprecyzyjny: nigdy nie mogliśmy

U L I C A

Kominiarz, który prawie przez dwa lata wycierał kominy na naszej kolonii, wydawał mi się bardzo przyjemnym chłopcem. Chłopcem, bo naprawdę myślałam, że jest w wieku mojego syna, był tylko drobniejszy, choć bardzo zreczyn. Może zresztą w ocenie jego pracy dałam się zasugerować wierszykiem, jaki — dziecku — śpiewała mi babcia, a który brzmiał tak:

Kominiarz, stan milutki,
wtrze komin, tyknie wódkę,
wtrze komin, skrobie graca
i za to mu ludzie płacą.

Ze tyknie wódkę, nie w tym nie widziałam groznego, ceccha ta ułona! zresztą potem w błękitie oddalenia, zaś słowo „stamilutki” było oczywiście jakimś tajemniczym przymiotnikiem o przyjemnej treści.

Potem na jego miejsce zaczął przychodzić jakiś wiejszy, bardziej, że tak powiem, naturalnego formatu, a po pieniądze zjawiał się specjalny inkasent. Jesienią zaś — ciągle pisze to w charakterze sekretarza Komitetu Blokowego — znarowiła się do domu Antonina G. Była to nieduża kobietka, tylko typ jej był jakiś nietutejszy, jakby cudzoziemski, miała wąskie biodra, była ruda, biała i obyspana piegami. Weszła i powiedziała od progu:

— Dobrze tu sobie mieszkanie!

Zbytłam milczeniem uwagę, ale Antonina bardzo mi się spodobała. Usiadła na skraju krzesła i zaczęła opowiadać. Straciła właśnie pracę w fabryce ocu — to obok mleczarni najbliższa fabryka, więc tam przeważnie pracują nasze kobiety — i wyrzuciła ją. Zaczęłam pytać, za co i czy sprawiedliwie? Powiedziała chmurnie — „a tak tam”. Tymczasem była na pośredniku i kazali przynieść zaświadczenie z komitetu. Nie pokazywała się potem przez parę dni, wreszcie spotkałam ją na ulicy. Powiedziała, że wprawdzie na pośredniku nie ma nic dobrego, proponują pracę do pegeeru za pięćset złotych, do której ona nie ma siły — ale krol jej się coś lepszego. Może mianowicie dostać się do kuchni stołowej, to by się i najęść można i pięćset złotych mieć na dodatek.

Niestety, nie minęło parę dni a wpadła znowu. Spieszyła się. Nie była nawet specjalnie poruszona, tylko bardzo blada. Prosiła, żeby jej napisać podanie do Ubezpieczalni o zasiłek pogrzebowy. W toku pisania wyszło na jaw, że umarła jej mała córeczka. Okropna myśl przemknęła mi przez głowę, ale jej nie wypowiedziałam. Dziecko było panińskie, nie miało ojca, nikt jej nie na nie dawać nie mógł. Trzeba podwójnego nieszczęścia, że dziecko umarło na drugi czy trzeci dzień po rozwiązaniu umowy w fabryce. Ale przecież teraz pracuje? Tak, dostała zaraz robotę w stołówce, ale między tym a tym minęło parę dni i dziecko właśnie umarło w tej łuce, więc nie wiadomo, jak będzie z zasiłkiem, a pochować trzeba,

Napisaliśmy wtedy w ciągu kilku dni trzy czy cztery podania — niestety, na wszystkie odpowiedziano odmownie. Dziecko zmarło w okrestie, kiedy matka nie pracowała, więc nikt nie był za to finansowo odpowiedzialny i Antonina G. zasiłku pogrzebowego nie dostała. Widziałam, że cierpi, ale jakże w takiej nędzy okazywać cierpienie? Obiektywnie wzięwszy miało być teraz źle. Pracowała w kuchni, jadła co dzień do syta, miała parę groszy, o szóstęj wracała — takie życie wydawało jej się raczej wygodne. Upominałam ją, żeby znowu się z którą nie pobła — bo podobno przyczyną wymownienia była awanturka z usposobienia. Zaczęła się i rozgniewała.

— Już to pani powiedzieli! Aha, pewno pani dzwoniła do personalnej.

Więc to była prawda, ale nie dzwoniłam do personalnej, a wszystkich szczegółów dowiedziałam się po prostu od jednego z członków Komitetu Blokowego.

W parę miesięcy potem przyszła inna kobieta z tego samego domu. Ale najpierw muszę powiedzieć, gdzie jest ten dom. Przed wojną wybudował sobie ktoś piętrową willę, którą potem musiał porzucić. Teraz to rudera rozbita niemieckimi pociskami. Stoi tam, gdzie się kończy nasza kolonia, już zupełnie w polu, a gdzie teraz wielka nowa autostrada zakręca ku nowej załadni. Tam, pod wielkimi orzechami ogrodników, stoją małe, zrzucone domki, często bez dachów, drzwi i okien, stamtąd pełznie ku nam nędza, która widocznie pozajmowała je zaraz po wojnie, często przy pomocy ciosu siekiery w kłódkę. Żeby mieszkać w stolicy, gdzie weselej i łatwiej o zarobki. Tu dodam też, że w owym czasie zaczęłam znów widywać niewielkiego,

zębami. Zdawała mi się chyba nieco starsza i ładniejsza od Antoniny, choć równie piegowała. Miała ze sobą ogromny, wielostronicowy kwestionariusz i nie wiedziała jak go wypełnić. Pretenduje o nocną pracę w naszej mleczarni. Dlaczego nocną? Bo ma czworo dzieci, a że z mężem nie żyje, więc jak pójdzie na dzień, to dzieci zostaną bez opieki. Powiedziałam, że nigdy tak nie wytrzyma, ale to miało mnie już nie obchodzić, praca dobra i najęść się można, właściwie nic nie trzeba dokupywać. Żeby wynieść, to nie, ale można jeść ile chcąc masło, ser, lody, śmietanę, na to się robotnikom pozwala.

Jednak przy wypełnianiu kwestionariusza okazał się szkopuły. Było

Polsce za mąż, a ta czwarta została z jakimś angielskim żołnierzem i nie wiedzą, co się z nią stało.

Powiedziałam jej, że kiedy wypełniam jej arkusz, muszę napisać jak było, ale nie sądzę, żeby jej to przeszkodziło w otrzymaniu pracy. Rzeczywiście nie przeszkodziło. A siostra, która została panną, to właśnie Antonina. Potem w ciągu paru dni przyszły jeszcze ze dwie czy trzy kobiety w tej samej sprawie: wszystkie chciały iść do mleczarni na nocną pracę, wszystkie miały dzieci i wszystkie chciały mieć dla nich czas i pieniądze.

Cóż tu można wyperswadować? Oczywiście nic. Powypisywałam więc zaświadczenia, jakich potrze-

— A mąż? — pytam, szukając numeru.

Antonina próbuje tłumaczyć po-
łożnice.

— Mieli się właśnie pobrać, w tych dniach mieli iść do urzędu. A przez poród znów się odwleczę.

Nie pytam dalej. Czemu zostawiła dziewczynę samą w bólach? Co by się stało, gdyby nie litość Antoniny? Pogotowie zaraz tu będzie. Cóż to jednak za wspaniała instytucja! Antonina nachyla się nad stołem, wciąga w nozdrza zapach białego bzu, który rano ścięłam.

— Piękny macie bez — stwierdza chrypliwie niskim mezzosopranem.

Wyjmuję go z wody i daję. Bie-rze, ale pyta ze swoją szorstką delikatnością:

— Niech pani nie daje, może sami nie macie.

Nie mogłam ich odwiedzić tego samego dnia, ale w parę dni idę tam. Trafic trudno, domek stoi na samym rogu autostrady. Dobrotliwie lato użycza mu chłodu, zieleni, cienia. Antoniny jeszcze nie ma. Drzwi zbite niezdarnie z desek, które pokazują mi jako prowadzące do jej mieszkania, są zapadnięte dziwnie nisko pod podłogę. Klamki nie ma, zamka nie ma, deski przyłożone cegły. Nie odsuwam tej cegły. Niedaleko bawi się dwoje dzieci, chłopiec i ładna dziewczynka o niebieskich oczach i miedzianych włosach. Marysia szyje u krawcowej jej sukienkę. Mała skacze koło mnie, opowiadając jaką piękną będzie ta sukienka. Chodzi do szkoły, a jakże! Ma osiem lat, jest w pierwszym oddziale. To jest synek tej pani co szyje, a to jej własne siostry. A tu ona piekę buraki. Może pójdziemy do mamy?

Następny domek. Atmosfera zamkniętości, niemal bogactwa. Okno oczywiście zamknięte i powietrze straszne — nie ma zwyczajowo otwierać okien. Dwa łóżka zsunięte, nakryte pluszowymi, zwisającymi do ziemi kapami, na ścianach półeczki, obrazki, fotografie, firaneczki w oknie, szafy pełne ubrań, dwa dobrze odziani chłopcy przybiegają, żeby mi się przyjrzeć. Za stolikiem siedzi kobieta i szyje na maszynie niebieską sukienkę ze sztucznego krepsatenu. Marysia siedzi przy stole, rajdają, aż się trzęsie, tamta, choć siedzi jak chłopka, w chustce na głowie, cedzi słowa pieszczotom głosikiem.

Nie od razu zauważyłam, że na tych zsuniętych łóżkach śpi szpakowaty mężczyzna. Robotnik, towarzyszy kobiety — robotnicy na złą i dobrą dole, ojciec, który nie porzucił własnych dzieci, opiekun. Stąd spokój, stąd szczęście, stąd zamożność. Marysia, choć zapewne nie zdaje sobie z tego sprawy, pożądlwie chłonie tę atmosferę, tymczasem zaś nie posiada się ze zdumienia, że do niej przyszedł, i komentuje ten fakt na wszystkie sposoby. Antonina jeszcze nie wróciła. Położnica jest w szpitalu, za tydzień wraca, urodziła szczęśliwie chłopca.

— Śliczna sukienka — mówię.

— Sasładka mi tak przez grzeczność szyje, bo nie mam maszyny.

Bo oto druga kłeska samotnej matki: nie może brać pracy do domu, bo trzeba prowadzić książki i składać wysokie opłaty. Niezyciowość takiego przepisu bije w oczy, ale lata mijają, a nikomu nie przy-

chodził na myśl, że przecież to rzecz ludzka i ludzie władni są ją zmienić. Wpadłam kiedyś na chwilę na Naradę Matek, gdzie trafiałam na komisję gospodarczą i referat kogoś z MHD. Podobno chętnie dawaliby matkom robotę do domu, ale one nie chcą brać, bo podatek wszystko pożre. Cierpią na tym handel, bo można by produkować wiele poszukiwanych na rynku przedmiotów dla dzieci, cierpią klienci, bo próżno szukają śliniaków czy fartuszków, a najbardziej cierpią samotne matki, bo muszą się kryć jak ze zbrodni, gdy wezmą 15 złotych za uszycie sukienki dla cudzego dziecka, by kupić własnemu cięgłemu albo czeresni.

Tymczasem wstaję i chcę się pożegnać, ale Marysia mnie nie puszcza.

— Jak pani już tu przyszła, to chodź pani do mnie!

Idziemy razem, Basia błętnie to za nami, to przed nami i ciągle świergocze. Marysia gniewa się na nią: „Idź po siostreczkę, weź ją za rączkę i przyprowadź”.

— Nie pójde — woła Basia i śmieje się, uciekając.

— Pójdziesz — woła w gniewie matka i podnosi rękę, żeby małą trzepnąć, ale ręka sama po drodze opada, Marysia zaczyna się śmiać i matka z córką obejmują się w namyślnym porwywie czułości. — Czy pani wie, że ona nie chce ode mnie odejść, jak ten pies? Przecież ją na kolonie, ja się sama dziwiłam, że tak od razu dostałam te kolonie, a ona nie chce odejść i musiałam ją wypisać.

— Czemu smarkula nie chcesz jechać? — pytam z oburzeniem.

Ale ona znowu ucieka, tylko miedzią grzywa podskakuje na karku. Wchodzimy do domu, Marysia odsuwa nogą cegłę — i nigdy nie zapomnę tego widoku! To przybytek rozpaczy, chciałyby się powiedzieć — teatralnej nędzy. Pod ścianami dwa wyra, które niegdyś były metalowymi łóżkami, ale z których czas i żołądki ludzka potraczyły wszelkie ozdoby, zostawiając szczerbate kikuty. Pod oknem z pojedynczą szybą (a jak tu jest, kiedy śnieg?) — kulawy stółek. Ani krzesła ani żadnego sprzętu ani żadnego przyrządu! Marysia uklepuje rozpaczliwie pościel na brzegu łóżka (bo pościel jest), ale ja nie chcę tam usiąść, przycupuję raczej na brzegu deski wspartej na krzyżakach, pod ścianą, gdzie zapewne wszyscy siedzą. Tak więc mieszka ta matka ze swoimi trzema dziewczynkami (osiem, sześć i trzy lata), tak mieszkała ze swoją małą Antoniną! Wrażenie jest tak okropne, że przymy-
kam oczy.

— Co pani jest? — pyta zatrwożona Marysia — pani taka blada! Antonina też ciągle choruje, a nawet dostaje ataków, wtedy jak syn pani telefonował co po nią przyjeżdżali, to tak się zatoczyła, zeszytywała i padła na łóżko. Myślałam, że już nie żyje, a to było po śmierci matki. Potem się obudziła, ale mnie nie poznała i jak mnie nie wyznę w papę! A ja widzę, że nieprzytomna, w gorączce, więc posłałam Basię po ratunek, a sama chwytam ją za rękę. Ust nie może otworzyć. Przez szparę w zębach, bo ona ma taką jak ja, wlałam krople, co mi doktor przepisał na serce, i dopiero przysłała do siebie. — Wybuchła śmie-

— Tyle wygrałam, że starczy mi na „Pana Tadeusza”. Tego co w takiej małej książeczce, w skórce. Będę mógł nosić ze sobą i stać sobie czytając.

— To szczęściarz z ciebie! — odezwał się jakiś ochryplawy niski głos, nie bez akcentu zazdrości. — Ja wszystko przegrałem...

Moja rozmówczyni z Prezydium Powiatowej Rady mówiła słusznie. Strzyżów rzeczywiście nie wypadł sroce spod ogona. Jego nazwa pochodzi od wyrazu „Strzeżowa”, co oznacza strażnicę. Tu bowiem, nad samym Wisłokiem, na skrzyżowaniu dwóch niezwykle ważnych handlowo szlaków — na Przemysku i na Przemyśle Dukielskim — stała ta strażnica.

Pierwszym na niej komendantem był Świętosław, który się tytułował: „Świętosław Strzyżowski na Strzyżowie”. Ale wtedy Strzyżów był jeszcze głuchą wsią, było to dopiero pierwsze dziesięciolecie XIII wieku. Ponieważ jednak taka strażnica stanowiła handlowo ważny punkt na tych ziemiach, zaczęli się tutaj osiedlać ziemniestnicy, kupcy, i pod koniec tegoż wieku mamy już osadę. Naturalnie na prawie magdeburskim. Najwięcej tu sukienników, garnarzy i kuśnierzy, ale nie brak i kupców, z których najlepszą renomą cieszą się traktujący winem węgierskim. Osada, a właściwie już miasto, bogaciejsze — i kiedy Jagiełło bierze ślub z trzecią żoną, Granowską, w pobliskim Snokku, gdzie zamieszkuje „nieprzyjacielem” wolał weselić się*), jest już tak zamożne, jak triumf!

— Mam!

— Co? — spytał sprzedawca,



Rys. Helena Winogrodowa

zręcznego kominiarza K., ale był teraz przeważnie pijany. Trzymając się w pół z drugim młodzieńcem tego samego fachu chodzili wolno i jakby tańecznie po Puławskiej i otaczających ją ogrodach, śpiewając łagodne piosenki i nikogo nie zaczepiając, dwie figury z jakiegoś filmu, grające pijanych.

Przyszedł więc do nas drugi rudzielec o niebieskich oczach i luce między przednimi, białymi jak ser

wiele śmiechu, rumieńców, zasłaniania oczu, wreszcie się okazało, że obywatelka Maria K. absolutnie nie może się siostr doliczyć. To jej wypadło pięć, to znów tylko trzy. Wreszcie wyznała, że nie wie, czy ma wszystko pisać. Pochodzi ze Śląska, podczas wojny zagnano ich na roboty do Niemiec, gdzie pracowali parę lat u bauera. Mama umarła, trzy siostry wróciły z ojcem, ona i jeszcze jedna wyszły w

bowoły, i znowu na parę dni straciłam z nimi kontakt. Aż tu znowu — była już wiosna, teraz, niedawno — wpada Antonina. Musi zadzwonić na Pogotowie, bo sąsiadka rodzi, a to chyba za wcześnie? Wszyscy od niej pouciekali, a ona podjęła się dzwonić. Na kolonii niewiele jest telefonów, więc wszystkie wezwania do chorych, nagłe zasłabnięcia, porody itd. idą zwykle przez nasz telefon.

W NOWYM POWIECIE

(Dokończenie ze str. 1)

szowskiego samo życie się po prostu domagało. To wielkie dobrodziejstwo, ten powiat u nas! A jeszcze większym dobrodziejstwem będzie przesiedlanie i spóldzielczość. Wtedy raz na zawsze położą się kres biedzie i zatargom o skiby ziemi. A ile ich, to wprost wierzysz się nie chce. Jeszcze w ubiegłym roku jeden chłop zabił swojego sąsiada motyką o grude ziemi, którą mu odkopano. O te grudy po innych wsiach też nie brak różnych tragedii. Gdzie indziej w Polsce czegoś takiego na pewno już nie ma, bo jak się słyszy, niejedna hektar ziemi leży ugorzem...

Odezwał się telefon i Przewodniczący sięgnął ręką po słuchawkę.

— Słucham! — rzucił w tubę. — Dobrze, już idę — po czym zwracając się do mnie, powiedział: — Bardzo mi przykro, ale będę was musiał pożegnać, bo już muszę jechać.

— Do domu?

— Gdzie tam! — roześmiał się. — W teren! Jadę z Komitetu i pod-
rzucać mnie kawalek, ale 4 km to muszę zapęchać na piechotę.

— Swojego samochodu nie macie?

— Mieliliśmy, ale jak się od rana do wieczora ganiało nim po różnych „parajach” — jak u nas nazywają wady — to szybko zagodziło się go na śmierć. Czekając aż go wremontują, to byłoby karygodne marnowanie czasu.

— I musicie korzystać z obcych?

tu. — Ale inni takiego szczęścia nie mają.

— Z mieszkaniem tak ciężko u was?

— Nie mówić! — zamachała ręką. — A pan myśli, że nie ścieśniają? Gdzie mogą i jak mogą, dotychczas lokatora, z większych mieszkań przenoszą na mniejsze, czasem i do awanturowi przez to dochodzi, mimo to prawie połowa nas dojeżdża ze swoich wsi. Bo większość to tu-tejsi, ja mieszkam niedaleko stąd, trzecia stacja za Strzyżowem, a tu, w Strzyżowie, skończyłam ogólną...

Wysłizłszy razem, kierując się wolno w stronę rynku — dość dużego pustego placu otoczonego w czworobok kilkunastu kamieniczkami — zajęliśmy dole, od frontu, przez sklepy, nad którymi wisiały świeżo pomalowane na zielono szyldy, każdy ze znakiem ZSCh.

— O! — zawołałem na widok dużej polacji tego rynku skopanej i pociętej na równe poletka. — Kwietniki będą?

— Na razle tylko trawa, ale brzeżkami możliwe, że i kwiaty. Cóż pan chce — powiedziała z lekkim przekasem. — Jak powiat, to powiat! Jeszcze w zeszłym roku była tu tylko góra ziemia, wypalona słońcem i zmyta deszczem. Słyszałam, że i druga część mają skopać... Te płyty też mają podobno usunąć.

Spójrzałem w dół, pod nogi, i odruchowo wstrząsnąłem się. Stałem na płytach nagrobków żydowskich.

— To hitlerowska sprawa? — spytałem cicho.

— Tak. Spędził ludzi z całego miasta i kazali. Na najstarszym cmentarzu zrobili park, a inne za-

mienili na pola — i wskazując ręką na wylot ulicy dodała: — Widzi je pan?

— A Domu Kultury nie mogli zrobić? Byłoby na pewno lepiej aniżeli składy.

— Kiedy Dom Kultury już jest. Mieści się w nim kino, które dwa razy w tygodniu wyświetla filmy. Jest i sala teatralna. Ale przedstawienia w niej jak z łaski.

— Z czyjej?

— Rzeszowskiego teatru, albo ARTOS-u. Raz na wiele, wiele tygodni. Ale teraz, kiedy mamy już powiat, to się chyba zmieni ta łaska. Jak słyszałam, jest w planie budowa nowego Domu Kultury, w którym będzie prawdziwy teatr, oraz budowa stadionu sportu zimowego. To ma być podobno coś pięknego, bo i siatkówka, i koszykówka, i tenis, i piłka nożna — rzucą ją w rozmarzeniu.

— Pani tak bardzo interesuje się sportem?

— U nas w Rzeszowie i okolicy wszyscy się interesują sportem, rybołówstwem i gołębiami. Od małego do największego, do najstarszego — poprawiła się ze śmiechem.

— I gołębiami, mówi pani? — wzięłam to za dobry żart.

— Tak, i gołębiami — potrząsnęła poważnie głową. — Gołębie od nas w całej Polsce znają, we wszystkich lotach biorą udział, no i nie najgorsze miejsca. Teraz pojadą do Warszawy na Festiwal, a potem podobno do Szwecji. A niektórzy gołębie mają! Oko by panu zbieleło z zazdrości, jakby je pan zobaczył,

*) Z kronik M. Bielskiego. Tom XIII. Tym „nieprzyjacielem” byli Tatarzy.

MELCER

PANIEŃSKA

chem. — Ale co w papę wzięłam, to wzięłam!

Rozglądam się wokół, bo w tym krzyżącym wnętrzu jest jeszcze coś: ściany. Ściany, niedawno widać malowane z jakimś dzikim, fantazyjnym gustem: na seledynowym tle wielkie kropki ciemnozielone, jedne jaśniejsze, drugie nieco ciemniejsze.

— Dobry deseń.

— A to ja sama malowałam. Jak mi mąż uciekł do drugiej, tak mi się smutno zrobiło, rozglądam się, tak brudno, tak straszno dokoła, i ja z tymi podbitymi oczami chodzę. I wzięłam się do malowania. Ładne, prawda? Uwiążałam wały na kij, maczałam w kubie i tak mi wyszło. Wielkość równa, tylko kolor trochę nierówny, prawda?

Z tej skóry zwariowanego leoparda przenoszę oczy na nią. Jest od dawna sama, więc już nikt jej nie bije. Tymczasem weszła Antonina, trzyma się za biodra i jęczy:

— Och, wszystko mnie boli. Dzień dobry pani!

— Zmęczyła się pani?

— Coż, jedna na urlopie, druga na chorobie, a za wszystkie robić trzeba.

Weszły trzy dziewczynki — i może cień tej najmniejszej, tej za wcześniej zmarłej. Wszystkie kobiety są do siebie podobne: te malutkie, różowe jak kwiaty, miedzianowłose, dobrze najedzone, matka im nie żałuje — i te dwie starsze, piegowate, rude, z lekko uniesioną górną wargą, z małą luką między górnymi, białymi jak ser zębami. Czy ładne? Albo ja wiem? Może brzydkie?

— Przysłał K. pieniądze? — pyta Antonina.

— Przysłał.

Slucham i uszom nie wierzę. Czyżby to było nazwisko małego kominiarza?

— Więc pani jest żoną K.? — pytam.

— A to pani nie wiedziała? Poznaliśmy się w Niemczech na robotach i te trzy dziewczynki, to jego.

— Ale pani ma czworo?

— Syn ma już szesnaście lat i mieszka stale na wsi u dziadka. O, dziadek kontent, że ma parobka i opiekę na starość, kocha go jak swego.

— A pani ile ma lat?

— Ja już jestem stara. Trzydzieści dwa.

Więc zaszła i donosiła tego pierwszego chłopaka mając piętnaście lat! Nie chce więcej pytać.

— Mąż bardzo dobrze zarabia i sąd przysłał mi na dzieci część pensji.

Więc dowiaduję się całego budżetu tej osobieli rodziny składającej się w tej chwili z pięciu mniejszych i większych kobiet. Antonina ma wikt i pięćset złotych, jest tymczasem sama. Marysia ma trzysta złotych jako dodatek rodzinny kominiarza, 450 złotych które sąd jej przyniósł na troje dzieci i swój zarobek około siedmiuset złotych. Tysiąc czterysta złotych, to wcale nie najgorzej. Tyle, że dziewczynki rbsną, a zanim zaczną same zarabiać, upłynie dużo wody w Wiśle... A Marysia postarzeje się i straci humor i energię, bo nikt jej przecież nie weźmie z trojgiem dzieci na dodatek. Tymczasem mąż żyje z inną i z tą inną ma podobno znowu dwie dziewczynki. Znowu się śmieje:

— Podobno i z tą się rozchodzi, powiedział, że musi się chłopca dochrapać, to dopiero przestanie.

— A ileż on zarabia?

— Ponad dwa tysiące złotych. (Przypomina mi się moja utalentowana koleżanka z Krakowa, która tak ubolewała wierszem, że nie może się spotkać z kominiarzem na kawie, bo on, biedny, nie ma trzech złotych na pół czarnej...). Mają spółdzielnię kominiarską, w Warszawie jest około stu członków i oni mają wielkie zarobki, bo takie kominy jak nasze to nie, ale w stolicy są wielkie kominy fabryczne, jedno oczyszczenie kosztuje kilkanaście tysięcy; taka spółdzielnia, choć płaci wielkie podatki, milionami obraca... Ale ja mu i tak rozvodu nie dam.

— Czy warto go pani przy sobie trzymać? Przecież już chyba nic z tego nie będzie, a na dzieci i tak musi dawać.

— Ale dodatek rodzinny mi przepadnie!

Antonina machinalnie głaszcze po głowie najmłodszą Elżunię. Nie śmieje się tak często i prędko jak siostra.

— A moja, to chyba miała wrzód w głowie — mówi w zamyśleniu. — Ja od razu doktorowi powiedziałam, że to musi być coś w głowie, bo nawet jak leżała, to się krzywiła i podnosiła rączki do twarzy, jakby ją tam w środku bolało.

Patrzy w szyć, a ja oddycham z ulgą. Więc to tak było! A ona pyta znów:

— Kto tak łóżko wygniotti?*

— A to ja, żebyś się miała o co pytać. I proszę pani, taka licha jak jestem, to ja każdej pracy podolałam i są ze mnie zadowoleni, pani się może spytać, na przyszły miesiąc przodownicą zostanę. A tam trzeba się nieźle uwijać. Stoi na ten przykład pięć maszyn i w każdej trzeba na łodzi ubijać, ubijać, a jak ubijać w ostatniej, to w pierwszej już prawie ukręcone.

— Ale co ukręcone? — pytam zdumiona.

Patrzy na mnie z niemniejszym zdumieniem, że taka jestem niepojętna.

— Jak to, co ukręcone? Lody. A do jednej maszyny z półtora kubeka wchodzi.

— Ale nocą pani nie pracuje?

— Próbowалам, ale nie mogłam wytrzymać, z nóg leciałam. Dwie wzięły nocną pracę, a ja nie mogłam. Rano chodzę.

Tego dnia, wracając do domu, zobaczyłam znów kominiarza K. w dalekiej perspektywie ulicy, ale jego zwykle niefrasobliwy chód nie był tak płynny jak zazwyczaj. Zachwiał się raz i drugi i przewrócił do rowu — a wkrótce zakryły go przed moimi oczami zgromadzeni przechodnie.

Założyłam sobie jednak, że zobaczę młodą położnicę, więc w parę dni potem idę znowu do nich. I tu nowa zmiana. Apartament jest przeźmblowany. W zwariowanej izbie w zielone kropki, stoją dwóm łóżkom było ciasno, stoją teraz trzy. Stolik wcisnięty pod okno, na stoliku wieniec i pachnie ogromny bukiet jaśminu.

— Kto wam się tu wprowadził?

— Halinka. Ma teraz urlop macierzyński, trzy miesiące to kawał czasu, przypilnuje dzieci i robi porządek, a tam gdzie ona leżała, to z jednej strony drzwi się na nią odmykały i z drugiej strony drzwi się odmykały. Bo w jej mieszkaniu okna



Rys. Helena Winogradów

nie ma i tam zupełnie ciemno, to piech chociaż dzieciak powietrza łynie. Bieda, trk jej będzie jak mojej siostrze, niech się chociaż tymczasem uweseli. — Potem dodała raźnie: — A ja sobie meble kupuję. Na raty. Jak ja mam siedemset złotych pensji, to mnie rozłoża na dwa dzieciata rat i będę wszystko miała: tapczan, okrągły stół, krzeselka. Pani pyta, gdzie się to wszystko zmieści? — I zaczyna mi szczegółowo pokazywać, jak to ona te piękne, nowe meble porzostawia.

Dzieciak na trzecim wyroku zaczyna skrzeczeć. Halinki nie ma, wstydzi się, krąży, ukazując przez okienko głowę jak w teatrze. Wolamy ją, zapoznajemy się. To typowa nadwiślanka z porcelanową cerą, bardzo kobieca, pełna słodyczy i wstydlivosti. Szafrak ma podarty. Siada na wykruc (ma takie połowe łózek) i podaje pierś synowi. W łagodnym świetle letniego dnia widzę przed

lawni, tylko przy etykietowaniu i korkowaniu. Trzydzieści stołów, wielka hala. Pracuje na akord, są z niej zadowoleni. Zarabia przeciętnie do siedmiuset złotych. Dostała wyprawkę na dziecko, ale teraz wyprawki marne, aby co te miękkie pieluchy.

— Ja teraz po śmierci malej zostałam sama — mówi Antonina (była na dłużej, przerywam jej, byle

— Zagnietliśmy dziś kluski na sto osiemdziesiąt osób, to co pani myśli, nie robota? — i patrzy na mnie z triumfem — a piękne były kluski!

Halinka ułożyła syna spać i zapiegła szlafrok. Mówi z cicha:

— Jego rodzice mnie znają i nie są przeciwni. Pomoc? Nie, nie mogą pomagać, bo sami mają troje młodszych. On ma niedługo przyjechać na urlop.

— Pani mówi, że dziecko opuścił — mówi dalej Antonina — ale przecież naley jeszcze na świecie nie było, a ja byłam w osmym miesiącu. I to się stało na przystanku. Pyta mnie: to jak, mam dziś przyjechać? A mnie on tak obrzydził, że już na niego patrzeć nie mogłam, bo jak się dowiedział, że jestem w ciąży, to tylko pił i awantury ze mną tworzył. Wiece mówię: możesz nie przyjechać! I więcej go już nie zobaczyłam. Wyjechał podobno do Nowej Huty.

Kiedy idę do domu, wisję na niebie ciemutki sierp księżyca. Antonina odprowadza mnie, obciskając na wąziutkich biodrach rozowy szlafrok własnego szcicia.

— I coście sobie taki babinec założyli? — pytam, ale ona zrozumiała co innego, i. — co pani! — zaczęła zmeszana, ale ponieważ ja myślałam inaczej i ona szybko się w tym zorientowała, więc nie dopowiedziała swojej myśli, ja nie dopowiedziałam swojej, i tak rozstaliśmy się.

Dwie rzeczy grożą samotnym kobietom: zbrodnia — i proceder. Jeżeli na karikach moich notatek nie podkreślałam tych krancowych możliwości, to nie dlatego, żebym ich nie brała pod uwagę. Oczywiście te młode kobiety nie będą żyły jak mniszki i nie ma do tego powodu. Ale co je powstrzyma? Człowiek dawnych pojęć odpowie sentymentalnie: dziecko. Ale my odpowiadamy inaczej: praca. To ona jest honorem robotnika — bez względu na jego pieć. Ewy Pobratymskiej z „Dziełom grzechu“ dziecko nie obroniło przed zbrodnią. Ale to nie są Ewy Pobratymskie. Redakcja „Nowej Kultury“ otrzymała list ob. R. Z. „O jednej bolączce społecznej“, Szkoda, że ob. Z. nie podaje tam żadnych faktów. Ale nieszczeście, do którego nie mogła się przyzwyczaić Ewa z „Domu Kobiet“, inaczej się odbija w zwierciadle oczu robotnicy. Ob. Z. pisze o ujemnym stosunku do niesłubnej matki. Robotnice o których pisałam nie odczuwały tego. Temperamenti, lekkomyślność? Ależ to uroczę cechy młodości — tylko że młodzieży trzeba wpoić przekonanie, że nasze prawa sięgają tak daleko, gdzie się zaczyna cudza krzywda.

Ustawodawca ludowy broni nieślubnej matki, każe jej dochodzić ojcostwa, przyznaje alimenty, daje bezpłatnie pomoc lekarską, urlopy macierzyńskie, dodatki rodzinne — ostatnio stwarzając nawet instytucję odwoławczą, gdy społeczne warunki kobiety nie pozwalają rodzić.

Ale jest w tym jakaś luka. Czemuż to kobieta musi płacić całym życiem, gdy mężczyzna wykpi się stu złotych na miesiąc? Jak powinniśmy przeciwważać olbrzymi trud i ofiarności kobiety, która, wychowując sama dzieci, buduje w najcięższych warunkach socjalizm? Jak ukwalifikować koleżankę, socjalistyczną opinię, jak moralność płci, jak ustalić odpowiedzialność, gdy chodzi o dziecko?

Oto szerzę pytań, które niewątpliwie poruszą czytelników. Bo jakkolwiek dzielne są robotnicze dziewczęta, bardzo bym chciała, by los pięciu córeczek kominiarza K. był odmienny od losu ich matek. Bo one — według pięknych słów Antoniny — „są zaiste dla kwiatów i kwiały są dla nich zadane“.

Wanda Melcer

że stać je na niezwykle kosztowne podarki ślubne dla króla, głównie w suknach, skórach, srebrach i winach.

Prawie w sto lat potem zawisła nad Strzyżowem groza zniszczenia i śmierci: Tatarzy, pod wodzą chana Mengli-Gireja, po splądrowaniu Rzeszowa ruszyli w górę Wisłoka. O obronie miasta nie ma mowy, bo nie rozporządza ono ani jednym człowiekiem odpowiednio uzbrojonym...

— I Jan z Makowisk, proboszcz świątobliwy — mój rozmówca, w wieku około 60 lat, przylgł do mi się bardzo uważnie, jak ja też zareaguję na to słowo — zbiera wszystkich mieszkańców w kościele, żeby błagać Boga o cud, bo tylko cud mógł ich uratować.

I co? — przerywam mu. — Stał się cud?

— Spadł krwawy deszcz — mówi poważnie. — O, w tym miejscu — i wyciągnięta ręką wskazuje kapliczkę widoczną w całości z rynku. Jak ta kapliczka... Stał tam namiot chana, a dokoła rozłożone było jego wojsko. Jak mi opowiadał mój ojciec, który był bogato ocytany w różnych księgach, już się spłoszili do uderzenia na miasto, gdy nagle zerwała się burza i spadł na nich krwawy deszcz. Chan pierwszy rzucił się do ucieczki. Jego namiot zaraz potem dostał się w ręce Patryny. Było w nim mooc — przeciągnął — skarbów wszelakich, dostatków, i od razu zrobił się z niego pan. Nakuł ziemi... Miał szczęście! Tę kapliczkę on właśnie wybudował.

— Jako podziękowanie Bogu za

cudowne zdobycie skarbu chana i zostanie ni stąd ni zowąd panem?

— A, tak — mruknął stary i nagle spojrzął na mnie wyraźnie podejrzliwie, jakby w moim głosie wyczuł szyderstwo. Ale oto staliśmy przed olbrzymim, zwartym w swolm maszywie kościołem. Od ścian z ciosanego kamienia ciągnął przejmujący chłód, przez kraty w malutkich otworach prowadzących do tajemniczych podziemi zalatywało stęchłą, kisłą wilgocią.

— W tym kościele modlił się świątobliwy Jan z Makowisk o cud. A w kilkadziesiąt lat potem od tego kościoła hen, poza miasto, cała droga wysłana była sukcesem przez cechmistrza Antoniego Colaczekowskiego, kiedy swą córkę Elżę wydał za syna Patryniego. Taki bogaty był Strzyżów w tych czasach!

A dzisiaj jaki jest? — zapytałam.

— Dzisiaj? — podjął wzrokiem wbił w mnie i nagle wypalił, jakby mi chciał przyciąć. — Biedny! Jeszcze jaki biedny! Sklepy to nie sklepy, tylko kramiki. Bo co w nich jest? Gdzie mięso? Gdzie jaka wędlina? Zamiast restauracji gospoda, a co w niej? Ech — zaszła ręką w powietrze, nachmurzoną ciałem. — W restauracji można było i popić i podjeść sobie niezgorzej, kiedy się chciało i co się chciało. Żaden przyjezdny nie miał powodu do narzekania.

Z kolei ja mu się przyjrzałam bacznie. I dopiero teraz zobaczyłem jego kragle, jakby napuchłe policzki i chylne oczka.

— Jest pan redaktorem, to może by pan napisał — zapełnił naraz prosiąc — żeby tak jaki sklep

czy restaurację? Albo cukierenkę? W mieście powiatowym przydałaby się. No i miasto przez to by się bogaciło!

— Nie, nie napiszę o tym — odpowiedziałem. Napiszę za to o elektryczności, którą wam jesienią ubiegłego roku założyli, o potrzebie budowania mieszkań. Napiszę i o tym, że w roku 1932 sanacja odebrała wam powiat, bo dla garstki ziemian nie opłacało się trzymać tutaj starosty. I o czym więcej?

Patrzyłem na napuchłą, oniemiałą nagie twarz mojego rozmówcy, zastanawiając się, o czym więcej mam pisać. O tej ładnej dziewczynie wiejskiej i o Katarzynie Dziekiej, dla których jakby specjalnie powstał w Strzyżowie powiat? Żeby jedna znalazła w nim wykształcenie i pracę, i żeby druga przybyła jarmarku mogła sobie załatwiać swoje sprawy w urzędach. I ani się spostrzegłem, jak zostałem sam, na jednej z krawędzi rynku. Rozejrzałem się dokoła. Rynek już pustoszał, pośrodku stał samotny, otoczony kilku młodymi drzewkami, pomnik Świerczewskiego, niedawno postawiony dla zaznaczenia nowych czasów i nowej historii tego miasta.

Naraz z bramy kamienicy, przed którą stałem, wyszła para. Ona — młoda, przysadzista, on — wysoki, o twarzy ni to inteligenta, ni robotnika. Kobieta mówiła podniesionym gniewnie głosem:

— Co oni chcą? Zabrać mi moje mieszkanie, a wepchnąć mnie do komórki? Myślą, że będę taka głupia i zgódzę się na to? Ngdy na świecie! Jak wiedzieli, że to będzie powiat, to już dawno powinni byli

pobudować mieszkania, a nie teraz!

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, ale za cicho, żebym dosłyszał.

— Nie, powiat powiatem, a ja do komórki nie pójdę! — odpowiedziała kobieta.

— Ach — zniciemnił się mężczyzna — gadasz jak smarkata, to nie komórki ci dają, tylko pokój z kuchnią za twoje trzy pokoje. A ile was jest? Troje? Trzeba zrozumieć, trzeba być, u diabła, człowiekiem! I nie tylko o sobie myśleć, o wygodę swojego tyłka dbać! Wiadomo, że mogli budować, ale skoro nie wybudowali, trzeba się z tym na razie pogodzić. Zresztą będą budować — dodał po chwili — słyszałem, że już są plany jakichś bloków mieszkalnych, za kilka lat na pewno nie pozna się Strzyżowa. Dlatego...

Zapadał już zmierzch, zamykano sklepy, w mrocznych bramach tu i tam jarzyły się ogniki papierosów. Powoli miasto wchodziło w nadciągającą noc.

W drzwiach Komitetu Powiatowego Partii, gdzie miałem zapewniony nocleg, stał, jakby na mnie czekał, Przewodniczący.

— Już z terenu? — zdziwiłem się.

— A tak! Miałem dzisiaj wyjątkowo szczęście, bo nie tylko zajętałem na miejsce, ale wróciłem stamtąd samochodem sekretarza. Właśnie idę od niego. Szkoda, że nie zabrałem was ze sobą! Zobaczylibyście naszą wieś i posłuchali, jakie bolączki mają chłopci.

— Tak otwarcie mówią u was o swoich bolączkach?

Poszliśmy do jego gabinetu. W całym budynku panowała cisza. Dziwna cisza opuszczonych biur. Z ulicy od czasu do czasu doleciał tupot czystych kroków.

— A tak — powiedział Przewodniczący rozsiadając się za biurkiem, jakby przystępował do urzędowania — mówią otwarcie. A żeby zwołać zebranie, wystarczy tylko pokazać się we wsi. Nie tak jak w innych województwach, gdzie ani słyszeć nikt nie chce o żadnym zebraniu. Ale o spółdzielni i przesiadaniu wciąż nawet wspomnieć sobie nie dadzą. „Gdzie umarł mój ojciec, tam i ja chcę umierać“ — odpowiada — „Ojcowizna — święta rzecz“. I rób co chcesz! W tych dniach mają do nas przyjechać agitatorzy. Boję się, że niewiele zrobią. A przed wojną, gdyby byli dawali darmo ziemię i gospodarkę, nie jeden by wyrwał stąd, ażeby się za nim kurzyło. A dziś, jak pnie wrośnię w ziemię. Agitacja amerykańska? Wroga robota? Czort wie! Bo nawet w Lubli, wsi najbardziej rewolucyjnej u nas przed wojną, mamy to samo! A kogo tylko zapytać czego chce, wzdycha: „przydałoby się jeszcze trochę ziemi i pogospodarować na niej, żeby zasmakować w tym...“ Zrozumiałe? Ano, rozumiałe! Toteż w przeciwnieństwie do innych województw u nas ludzie chętnie brali ziemię z Reformy, jedni drugim nawet z rąk wyrwali. A byli i tacy, co kombinowali z palikami, nocą, albo i z miernikami. I teraz nie w jednej i nie w dwóch wsiach jest tak, że ktoś na papierze ma jeden hektar albo półtora, a uprawia o wiele mniej. Brakującą mu ziemię zbiera kto inny. Rze-

szów tego nie widział, albo po prostu nie był w stanie poprawić, a my musimy, bo jakże to, ludziami dzieje się przecież krzywda. Ale jak się do tego zabrać, głowa wprost puchnie.

— Podobno — zmieniam temat — macie duże trudności mieszkaniowe?

— Wielkie! A z aprozacja jeszcze większe, jakby nikt o nas nie myślał.

A z innymi towarami?

— Raczej dobrze. Niedawno otwartiliśmy sklep meblowy, warzywny, nabiałowy i konfekcyjny. Dawniej ich nie było, bo Strzyżów był jak wieś. Niejeden chłop zamiast w Rzeszowie, u nas już może załatwić wszystkie swoje sprawunki. Ze szkół mamy ogólnokształcącą i podstawową, ale zawodowych — żadnych. Brak ich bardzo się odczuwa, bo młodzież nasza chce się uczyć, chce się wyrwać z prymitywnych warunków życia. I o takie szkoły będziemy się starać. One nam pomogą, bo wielką do nowoczesnej produkcji te masy młodych, które dzisiaj marnują się na naszym terenie. A przemyśl, który zaciśniemy tu budować, dokona reszły.

Mówił wołno, z wiarą w każde słowo i w przyszłość, jaką buduje dla swojego powiatu.

Towarzyszu! — powiedział naraz. — Kiedyśmy zaczęliśmy urządowanie, budynek nasz był prawie surowy, ani okien, ani mebli. Nawet ściany były podrapane, brudne. A dziś budynek wygląda jak pałac, niczego tu nie brak. Niczego nie będzie brak w mieście i na wsi, niech tylko minie rok, dwa... Nie od razu Kraków zbudowano!

Józef Morton

Nowe książki

KAZIMIERZ BUDZYK „SZKICE I MATERIAŁY DO DZIEJÓW LITERATURY STAROPOLSKIEJ” PIW. 1955. Cena zł 15,40.

Duży, liczący ponad 360 stron tom jednego z najwybitniejszych współczesnych badaczy literatury staropolskiej, wydany przez Instytut Badań Literackich PAN zawiera piętnaście szkiców. Pierwsze dwa szkice — „O literaturze polskiego średniowiecza” i „Główne kierunki rozwoju literatury polskiej okresu Odrodzenia na tle niektórych dziedzin kultury” mają charakter ogólny — dalsze dotyczą poszczególnych postaci autorów lub wybranych zagadnień. Tak więc weszły tu prace: „Poglądy społeczne Biernata z Lublina”, „Marcin Bielski”, „Sprawa Reja” i jeszcze jeden szkic o tym samym pisarzu — „Życie i twórczość Mikota Reja”, — trzy szkice o Kochanowskim: „Jana Kochanowskiego droga do Czarnolasu”, „Życie i twórczość Jana Kochanowskiego”, „Znaczenie Kochanowskiego dla rozwoju poezji polskiego Odrodzenia”, a także „O życiu i twórczości Wacława Potockiego”. Zbiór uzupełniają prace poświęcone następującym zagadnieniom literatury staropolskiej: świecka powieść ludowo-miejskańska pierwszej połowy XVI w., poezja polsko-lacińska pierwszej połowy XVI w., początkowe etapy rozwoju reformacji w Polsce i literatura mieszczańska późnego renesansu. „Obecna książka — pisze Budzyk w słowie wstępnym — w sposób widoczny podopieczna jest prawidłowości wstępnego etapu pracy. Niektóre studia wybiegają wprzód, dając boczny zarys syntez, jednocześnie zaś podejmując konieczne, związane z tym ryzyko. Ich zadaniem jest spenetrować teren, jakby dokonać na nim wywiadu, i wytyczyć dalsze kierunki marszu, które niewątpliwie będą potem korygowane. Inne rozprawki przyniosą bądź to materiały biograficzne podsumowujące dotychczasową na ten temat wiedzę, bądź też uzupełniają luki nowymi konstatacjami. Całość zamierza, kierując właściwym, moim zdaniem, akcentem interpretacji”.

WIKTOR WOROSZYLSKI „O TADEUSZU BOROWSKIM, JEGO ŻYCIE I TWÓRCZOŚCI”. PIW 1955. Cena zł 3,10.

Praca Woroszylskiego ukazała się w tzw. nowej serii „Ibelowskiej” — „Studia nad polską literaturą współczesną”, redagowanej przez Ryszarda Matuszewskiego. Rozprawka o Borowskim jest jedną z tych, które trafią do rąk licznych czytelników, nie tylko ze względu na rangę literacką tego pisarza, ale także dzięki swoim walorom artystycznym i przystępności.

ZA GRANICĄ

PISMA ZBRANE DOŚTOJEWSKIEGO w wielkim nakładzie przygotowuje do wydania moskiewskie Państwowe Wydawnictwo Literaturne z okazji 75 rocznicy śmierci wielkiego pisarza. Rocznicą ta przypada na początek 1956 roku. W Leningradzie krytycy literacki przeprowadzają obecnie przegląd dzieł Dostojewskiego i twórczości Dostojewskiego. W miejscowych archiwach odkryto nowe materiały oświetlające okres lat 1859—1863, kiedy Dostojewski był słuchaczem Wyższej Szkoły Inżynierskiej oraz nowe materiały dotyczące działalności koła politycznej inteligencji rosyjskiej, zwalczającej carat; Dostojewski w tym czasie pracował też w latach 1867. W muzeum, poświęconym życiu i twórczości wielkiego pisarza w Moskwie przeprowadza się obecnie reorganizację w związku z nowymi nabytkami, wśród których znajdują się czasopisma, zawierające prace Dostojewskiego. Jak również omawiające twórczość pisarza Biełłinskiego, Pisarewa i Gorkiego. W 75 rocznicę śmierci pisarza w wielu miejscowościach, w których przebywał kiedyś Dostojewski, zostaną odsłonięte tablice pamiątkowe.

W DOMU LITERATURY W MOSKWIE odbył się wieczór poświęcony poezji jugosłowiańskiej. M. Issakowicz stwierdzała w zagranicznych utworach, że wiersze, słownictwo, chorałach, słownictwie i macedońskich, a od dawna ulubiona lektura w Związku Radzieckim, podał do wiadomości zebranych, że poeci radzieccy pracują obecnie nad wielu nowymi przekładami z literatury jugosłowiańskiej. W zakończeniu wieczoru poeci radzieccy czytali fragmenty swoich nowych przekładów.

NAJWIĘKSZA NAGRODA LITERACKA W JUGOSŁAWII jest, jak podaje bratysłławski tygodnik „Kultura”, przynajmniej inscenizacją, którą przynajmniej raz w roku, w okresie wojny był komisarzem politycznym jednego z oddziałów partyzanckich, a następnie studiował w partii, ale oprócz powieści opu-

znajdź w niej czytelnik wiadomości biograficzne, ciekawe uwagi o prozie, poezji i publicystyce Borowskiego, o jego trudnej drodze człowieka i pisarza, o jego zalamanach, wahaniach i przełomach. Atmosfera tej książki ma w sobie ton ciepłego, serdecznego wspomnienia o przyjacielu i towarzyszu.

HENRYK MARKIEWICZ „KRYTYKA LITERACKA W WALCE O REALIZM SOCJALISTYCZNY 1944—1954”, PIW 1955. Cena zł 3.—

Jest to jeszcze jeden tomik z serii „Studia nad polską literaturą współczesną”, będący próbą zarysowania głównych linii rozwoju krytyki polskiej w dziesięciolecie. Próba ta z wielu względów nie wyczerpuje w pełni zagadnienia, ma jednak duże znaczenie orientacyjne i stanowi cenny materiał do dziejów literatury ostatniego dziesięciolecia. „Osią szkicu — pisze Markiewicz — jest sprawa udziału krytyki w kształtowaniu się realizmu socjalistycznego w literaturze Polski Ludowej. Tylko pod tym kątem widzenia uwzględnione w niej zostały prace dotyczące literatury obecnej i prace historyczno-literackie. Całkowicie pominięto krytykę teatralną, krytykę książek dla dzieci i młodzieży, wreszcie recenzje w prasie codziennej”.

„PIŚMIENICTWO O HENRYKU SIENKIEWICZU”. Materiały bibliograficzne. Henryk Sienkiewicz: „Dziela” tom 60. PIW 1955.

Opracowany przez Juliana Krzyżanowskiego przy współudziale Zbigniewa Daszkowskiego III i ostatni tom bibliografii sienkiewiczowskiej — „jest zbiorem materiałów orientujących w dziejach odbioru znakomitego pisarza przez czytelników polskich i obcych” — czytamy we wstępie. — „Materiały, by te zyskały następnie to wszystko, co w zakresie „literatury o Sienkiewiczu” pojawiło się u nas drukiem, czerpią wreszcie z zasobów rękopiśmiennych i archiwalnych. W ten sposób osiągnięto niemal że pełnię dostępnego dzisiaj materiału z zakresu bibliografii prac o Sienkiewiczu”. „Mimo to — pisze J. Krzyżanowski — zestawienie materiałów nie mogło wyjść poza studium wstępne, pionierskie ze względu na trudności jakie nasuwa konieczność poszukiwania materiałów w wielu bibliotekach. Książka ta pokazuje jak daleko i głęboko sięgała popularność Sienkiewicza, badacze zaś naukowci uzupełniając własnymi poszukiwaniami bogate materiały tej bibliografii — bez trudu opamięta całość „literatury o Sienkiewiczu”.

K. Nast.

Nie jest przypadkiem, iż u początków radia i filmu znajduje się forma reportażu. Miał on zastąpić nasze oczy i uszy, stwarzając złudzenie bezpośredniego przeżycia. Radiowy reportaż dźwiękowy posiadał więc wszystkie szanse, by stać się pozycją szczególnie atrakcyjną. W praktyce stanowił jednak nudną „pilę” programu, przyjmowaną jako złe konieczne. Ile razy przekracaliśmy gałkę głośnika już po pierwszych słowach „znajdujemy się właśnie w zakładach...”. Dlaczego?

Już z samych założeń reportażu wynikała konieczność stworzenia w nim plastycznego obrazu realnych sytuacji życiowych. W naszych reportażach brakło jednak niezbędnych szczegółów, które by ułatwiły pracę wyobraźni. Z konkretnego środowiska fabryki pozostawał umowny huk maszyn, tzw. tło dźwiękowe. Z indywidualnych sylwetek ludzi — ich bezosobowe, beznamiętne wypowiedzi o produkcji. Ludzie ci zjawiali się i znikali: nie wiadomo skąd i dokąd, obcy nam i obojętni.

Nieznamy nam i pozbawiony cech indywidualnych był również reporter, który zagałaj i „podsumowywał” informacje. W reportażu nie działało się nic: był statyczny, w przeciwieństwie do dynamizmu sytuacji życiowych. Nawet najambit-

Eduardo De Filippo

Jeżeli w prowadzonej na terenie Włoch rozmowie o teatrze padnie imię Eduardo, to wszyscy wieczą, że ma się na myśli De Filippo. Ten wielki neapolitański dramaturg, aktor, reżyser i scenarzysta jest bowiem do najpopularniejszych, najbardziej znanych i lubianych ludzi w kraju. Tajemnica jego nieoczekiwanego powodzenia leży w samej istocie uprawiania sztuki, w tym, że w wypracowywaniu na scenie swych ludzkich bohaterów, mówi o nich rzeczy ciekawe, prawdziwe i głębokie. W pospolitych postaciach, których tragiczne i śmieszne rysy bawią wspaniale, umie De Filippo odkryć i pokazać godność ludzką, instynktowną, prawdziwą moralność. Bohaterowie ci są niepolitycznymi mieszkającymi w stromych, pnących się ku powierzchni przetrzeziulach, w cuchnących wnętrzach „sławnych” suterren, w mieszkaniach, gdzie beznadziejność jest doświadczeniem, a nie teorią. Należy do nich fakt zerwania ściślejszej więzi z rodziną. Eduardo ma brata Peppina i siostrę Tittinę. Tittina jest doskonałą aktorką charakterystyczną, Peppino nie tylko aktorem, ale również, podobnie jak Eduardo, dramaturgiem, autorem kilkunastu sztuk. Przez szereg lat tworzyli oni jeden zespół, tzw. „Compagnia De Filippo”, wystawiając kolejno sztuk oba bracia w swoim własnym objazdowym teatrze i grając w nich główne role. Później doszło do zerwania. Peppino i Tittina poszli ułatwowioną drogą doręcznych sukcesów, starając się przypodobać mieszczańskiemu odbiorcy. Eduardo pozostał sam w swojej walce o narodową sztukę.

Teatr włoski lat powojennych rozwijał się w tym czasie do niezwykłej. Organizowanie imprez i widowisk przejęli prywatni przedsiębiorcy, nie mający zrozumienia dla sztuki i nastawieni wyłącznie na „robienie kasy”. Metodą najczęściej przez nich stosowaną był tak zwany „system gwiazd”, polegający na zawieszeniu kontraktu z jednym lub dwoma lubianymi przez publiczność aktorami, których zadaniem jest zapewnić przedstawieniu powodzenie. Do pozostałych ról wyznacza się tych ludzi, którzy zaferują swe uszy z po najniższej cenie. Dzieci tak pożyłanej organizacji przedsiębiorców odbija sobie wydatki na „gwiazdy”, nie troszcząc się o ogólny poziom przedstawienia. Niekiedy dwie „gwiazdy” zawierają spółkę między sobą, z zamiarem przedsięwzięcia, organizując zespół wyjątkowych gwiazd teatralnych w Rzymie. Mediowanie ich Neapolu i grają wybrany utwór przez cały sezon. Poziom artystyczny tych imprez jest zjawiskiem nieco lepszym, chociaż wcale kasowe grają i w tym wypadku rolę decydującą.

W LIPSKU WYSTAWIONO KOMEDIE KRYMINALNA zachodnio-niemieckiego pisarza Ulricha Bechera, który mieszka stale w Szwajcarii. Komedia ta pt. „Mademoiselle Loewenzorn” spotkała się z zainteresowaniem krytyki i przychylnymi recenzjami w prasie. Jej tematem jest wyprawa wojenna przeciw niemieckiej polityce zachodnio-niemieckich kół imperialistycznych, pokazując równocześnie, jak pisze prasa, „obrazy z życia i polityki”. Intryga wydarzenia się od odkrycia wypadku domniemanego morderstwa w hotelu „Loewenzorn”, w którym mieszkają: fabrykant żydowski Nebels, Szwajcar, który nie wraca do Zachodnich Niemiec, ponieważ zaczyna tam odżywać rasizm, dalej: Dr Ulen, który wyemigrował do Szwajcarii, ponieważ nie chce pogodzić się z narzucanym mu przez Zachodnich Niemiec politycznym wreszcie znajdujemy też w hotelu „Loewenzorn” byłego oficera SS Lama, który dopuścił się wielu zbrodni w Oświęcimiu i teraz oczekuje chwili, kiedy będzie już mógł powrócić do Zachodnich Niemiec jako bohater. Jego csa zbliża się... Recenzja premiery „Mademoiselle Loewenzorn” podkreśla również duże osiągnięcia inscenizatorskie młodego dramaturga R. Kuzara.

„PRZYGODY Z CAŁEGO ŚWIATA”. To jest seria specjalnej zeszytowej, sensacyjno — kryminalnej, która rozpoczęła wydawanie w Berlinie. Pojedynczy zeszyt serii, ukazujący się w maszynowym nakładzie, kosztuje 10 fen. Od jesieni będzie wychodził co dwa tygodnie.

ZOFIA KRZYŻANOWSKA Między autentyzmem a umownością

Ważne, problemowe audycje tego typu odwoływały się wyłącznie do intelektu słuchacza, rezygnując z poruszenia jego wyobraźni i uczuć. Rzecz jasna, nie było tu mowy o stworzeniu słuchaczowi wrażenia jego uczestnictwa w odwzorowanej sytuacji. W zamian otrzymywał „czysty problem” czy też „czystą informację”, treści rozumowe, abstrakcyjne. To samo — w sposób nawet pełniejszy i ciekawszy — można powiedzieć w felietonie czy artykule problemowym. Trudy nagrania były przy tym niewspółmierne do efektów.

Dlaczego więc reportaż dźwiękowy? Bo jest żywym głosem z terenu, bo przekonuje swym autentyzmem. Jesteśmy u podstaw błędów i wewnętrznych sprzeczności reportażu. Zasada autentyzmu okazała się niewystarczającą do nadania audycji życiowej prawdy. Treści intelektualne, oderwane od plastyki obrazu, sytuacji i ludzi nie potrafiły słuchacza zainteresować. Reportaż przypominał, że jest sztuką.

Problem reportażu dźwiękowego długo pozostawał w programie Polskiego Radia nierozwiązany. Gdy w innych radiofonach dokonywano w tej dziedzinie ciekawych eksperymentów, nasze radio nie wyszło poza okres pierwszych trudności. W imię autentyzmu oddzielano nadal reportaż z wszelkich realiów. Zachowywano z pietyzmem „autentyczne wypowiedzi” ludzi z terenu,

obok braku stałych teatrów (jest ich zaledwie kilka na całe Włochy), które mogłyby jakościowo przyczynić się do podniesienia poziomu przedstawień, istniała jeszcze jedna powód zamykania w dziedzinie sztuki dramatycznej. Najważniejszym z nich są niewątpliwie obciążenia odziedziczone po międzywojennym, laszowskim okresie. W owych latach wiele pisarzy, nieznających głębi kryzysu, schodząc do roli narzędnika reżimowej propagandy, masowa produkcja bezwartościowych utworów transmitowanych w masę ze wszystkich scen kraju znużyła śmiertelnie odbiorcę, dla którego jakoby pustką stała się obserwacja sztuki zagranicznej, która w całym świecie, w tym w naszym, stała się synonimem wolności. Amerykańskie, angielskie, francuskie dramaty i komedie — płytkie, anachroniczne, surrealistyczne — zalały rynek. Wprowadzenie problemu nowoczesnej sztuki zagranicznej do życia i treśćowych kompleksów uznane zostało w partycularzu włoskim za wyraz europejskiej i postępu, a granie jakiegokolwiek sztuk rodzimych, nawet najlepszych — za powrót do zniechęcającego okresu.

Jednym z tych, którzy w chaosie wytworzonym przez dekadencję próby rodzimych pisarzy i zalew obcej literatury, nie zrezygnowali ze swej samodzielności, twórczej postawy, był De Filippo. Jego talent i wyjątkowość dojrzała w całej pełni. Powstają takie sztuki jak „Neapol, miasto milionerów”, „Strach Nr 1”, „Rodzina „Filumena Marturano”, „Ach, te duchy!”, „Wielka magia” itp. Nie są one wolne od naturalistycznych naleciałości, od atmosfery uprzedzonego obywatela, wyrażonego w swoim czasie Europeu przez Pirandella, od nadmiernej rozbudowy psychologicznych wątków. Są to jednak defekty marginesowe, nie przesłaniające głównego, realistycznego nurtu. Dla Eduardo De Filippo ta jego sztuka narodowa i krytycznymi uwagami o ustroju, nie było miejsca w sytuacji, jaka się po wojnie wytworzyła. Rzadkie wzmiarki oficjalnej krytyki stawiały go w randze prowincjonalnego regionalnego pisarza, niechętnie władze pstrykiły na jego drodze różnorodne trudności. De Filippo nie pozwolił się jednak zmusić do milczenia. Potrafił stworzyć własny wielki teatr. Obciążony kłopotami organizacyjno-administracyjnymi, pochłonięty walką o utrzymanie wysokiego poziomu przedstawień i pokonywaniem nieustannych trudności finansowych — konsekwentnie realizował swe ambitne zamierzenia. Sukces odniesiony w Paryżu jest najlepszym miernikiem osiągnięć.

Sztuka „Ach, te duchy!” wystawiona na paryskim Festiwalu, należy niewątpliwie do najsłabszych pozycji pisarskich autora. O jej wyborze zadecydowały prawdopodobnie to, że w przeciwieństwie do innych nie była jeszcze grana w stolicy i Tittina, która w tej sztuce grała słabą rolę fabularną — zasadnicze momenty tej komedii — zostały zastosowane w dużej mierze przez mistrzostwo gry aktorskiej De Filippo i jego zespołu. Umiejętność wydobycia głęboko komediowych efektów z tak ograniczonego materiału, jak wiara w ducha, zapewniła entuzjastyczne przyjęcie teatrowi, który jest w historii dramaturgii zjawiskiem bardzo szczególnym z uwagi na to, że Eduardo sztukę regionalną do rangi sztuki podniósł.

Jadwiga Pasenkiewicz

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

„Adasiu, tak nie można...”

List otwarty do Polskiego Radia

„Adasiu, tak nie można — raczej umrzeć lub zostać aktorką...” — ten cytat z wierszyka Boya wzięliśmy sobie za motto do niniejszego zalecenia.

Otoż, raczej umrzeć lub zostać aktorką, niż abym miała więcej posyłać swoje utwory do „Warszawskiej Fal” Polskiego Radia! — A dlaczego? Dlatego, że nie wie prawda co czyni dziewczyna. W „Warszawskiej Fal” pracują bardzo grzeczni i miłe panie, trochę za uprzejme, aby miały być prawdziwe. Te oto miłe damy proszą mnie kilkakrotnie o utwory do swoich audycji. Literat — jak to literat, niby to nie ma czasu, ale jak mu z daleka pokiwają banknotami, to zaraz siada i pisze. Napisało się więc to i owo, grzeczne panie same przysłyły do mojego mieszkania, bardzo im się podobają, orzekły, że audycja odebrze się w następny czwartek, omówiły z autorką honorarium i wyszły.

„Powiedziała, że ma — powiedział, że da i poszedł...” — jak starej powiedziała Miry Zimskiej. Po dwóch tygodniach przychodzi list o wręcz czarownicę treści, brzmienia następująco: „Pani felietony zostaną nadane 17.01.01 o godzinie 19 do 19.30”. Autor zachęcony zaczyna rachować — pół godzinna audycja to nie było on jakimś tytułem, a tymczasem samemu Zamawia sobie wcześnie zajądza się, bo tysiącerek tu — tysiącerek tam, „grosz do grosza” — a będzie grosza? — jak mawiała pewna obywatelka. — Tymczasem... tymczasem odzywa się telefon od jednej z tych miłych pan, które nie wiedzą, że audycja, bo drugi kolegium odrzuciło, że był za mało wydziewkowy. Rozumie-

o których słuchacz nie wiedział nie poza ich nazwiskiem i zawodem. Uparcie usuwano z taśmy wszystkie szczegóły „nie wiążące się z problemem”, choć mogłyby przecie urealnić obraz środowiska: swobodniejsze sformułowania, wstępne powitania, ba nawet kroki podchodzących do mikrofonu. Kiedy w imię autentyzmu trwał zgłaszający reporter warko maszyn — eliminowano jednocześnie wszelkie przypadkowe rozmowy robotników znajdujących się w pobliżu. Niezróżnicowane akustycznie tło fabryki sprawowało wrażenie płaskiej, malowanej dekoracji: marlowej i nieprawdziwej. Trwał umowny autentyzm.

Co było przyczyną naszego zapóźnienia rozwojowego w tej dziedzinie? Niewątpliwie zaważył tu brak wyposażenia w nowoczesny sprzęt techniczny. Ciepła aparatura nagrywająca utrudniała reporterowi poruszanie się z mikrofonem i wpływała na statyczność audycji. Ale czy to tylko sprawa aparatury? Korzenie błędów i trudności sięgały głębiej. Nad reportażem dźwiękowym ciążył lęk przed groźnym widmem naturalizmu. Obawa przed naturalizmem, którego istotę nie zawsze sobie uświadamiano, powodowała odrealnianie audycji, pozbawianie jej akcesoriów życiowej prawdy i konkretności sytuacji. Zaciężone pojęcie realizmu prowadziło do ograniczenia twórczej roli autora-reportera. Stąd nie miała prawa obywatelstwa na antenie metoda inscenizacji wydarzeń — rzekomo sprzeczna z dokumentalnym charakterem reportażu dźwiękowego. Uciekając przed naturalizmem reportaż radiowy nie ustrzegł się więc od jego błędów!

Podniesienie się poziomu reportażu dźwiękowego jest więc nie tylko sprawą ulepszonej techniki, lecz przede wszystkim sprawą dojrzenia ich twórców, głębszego zrozumienia przez nich praw realistycznej sztuki. Dlatego nie jest przypadkiem, iż nowy powiew w reportażu dźwiękowym wystąpił w okresie twórczego fermentu i dojrzenia naszej sztuki.

Nadana w marcu br. audycja „Na polach Kłodawy” jest właśnie przejawem tego „świeżego powiewu”. Świadczy o tym, iż dokonany już został decydujący krok naprzód w kierunku realistycznej sztuki radiowej, krok w kierunku życia i potrzeb słuchaczy. Ta naprawdę interesująca audycja jest wymownym dowodem, iż atrakcyjność powstaje tam, gdzie sztuka radiowa zrywa ze sztywnym schematem, zbliżając się do prawdy życiowej obserwacji. Dlatego warto poświęcić jej chwilę uwagi.

„Na polach Kłodawy” jest prostą historią dwu reporterów, którzy spóźnili się na pociąg sprzedając czas na zwiedzaniu miasta. „Historia” — a więc akcja, zerwanie z dotychczasową statycznością. Koncepcja autorów poszła tu w kierunku fabularyzacji — wzorem reportażu NRD. Jest to, że tak powiem reportaż „chodzony”, dynamiczny; miejsce akcji zmienia się parokrotnie, mikrofon jest w ruchu. Znajdujemy się na ulicy, w mieszkaniu górniczym, a w końcu poruszamy się po kopalni soli. Audycja składa się więc z trzech członów spojonych

TYDZIEŃ W HELSINKACH

(Dokończenie ze str. 3)

kością życiowego standardu Finów; zresztą nie my jedni, Francuzi też kręcili głowami. Po paru dniach człowiek przywyka i zaczyna dostrzegać monotonię: odzież, gustowna i wprawdzie i solidna, jest na wszystkich przechodniach podobna. Wielkie magazyny zarzucają miasto seryną, bliźniaczą produkcją. O ironio, w Helsinkach jest równie trudno być elegancką kobietą jak w Warszawie: wszystko co wyskakuje nad przeciętną, jest już bardzo kosztowne. Tyle, że ta przeciętna jest u nich rzeczywiście wysoka.

Zostawiamy ekonomistom rozważania na temat wartości olbrzymich lasów, jakimi dysponuje ten nie liczny naród, tudzież na temat tajemnicy fińskiego budżetu (w nawiasie dodamy, że niemal wszystko pochodzi tam z importu, nawet jabłka jada się argentyńskie, jako że skalista północna gleba nie jest w stanie zaspokoić potrzeb mieszkających). Zapewne, gra tu rolę wiele korzystnych przyczyn obiektywnych. Ale — wspomnijmy chociażby o jednym charakterystycznym, acz bagatelnym szczególe: na dalekobieżnych liniach autobusowych szofer pełni zarazem funkcję bilcera. Drobiazg? Pewno, lecz zawsze dla przedsiębiorstwa to taniej...!

W ogóle ruch samochodowy jest duży i — co nas uderzyło — nie widać prawie wcale starych, zużytych wozów: wszystkie są „prosto spod igły”. Wśród nich — co nam się wydaje ciekawe — stosunkowo duży procent stanowią „Ify”, „Pobiedy” i „Skody”, z powodzeniem konkurujące z markami zachodnimi, ładniejszymi od nich, ale też znacznie droższymi.

Nad tym wszystkim, jak dziwne hasła, błyszczą nazwy wielkich koncertów naftowych, Zbior-

oskami reporterów i wspólnym problemem. Jest nim przedstawienie zmian, jakim uległa Kłodawa i życie jej mieszkańców w Polsce Ludowej. Dawna metoda relacji została zastąpiona bezpośrednim pokazaniem słuchaczowi rozgrywających się wypadków i różnych środowisk. Zroznicowanie środowisk i miejsca akcji stało się w tym wypadku sprawą szczególnie ważną. Metoda komentarza odautorskiego została tu słusznie odrzucona jako sprzeczna z założeniem stworzenia fikcji „złapanego na gorąco życia”. Do pełnego odzwierciedlenia interesujących szczegółów otoczenia nie mogły jednak wystarczyć efekty akustyczne i tło dźwiękowe. Opisy i informacje zostały więc roznoszone w rozmowach, w których reporterzy dzielą się swymi wrażeniami. Zamiast dotychczasowej oficjalności wypowiedzi otrzymaliśmy intymność osobistych uwag. W miejsce „obiektywnych” i suchych danych — indywidualne przeżycie człowieka. Zgodnie z prawami fabularyzacji reportaż zyskał bohatera. Bohatera, który działa, przeżywa coś w naszej obecności, cementując sobą poszczególne wątki akcji. Jest nim reporter, a właściwie dwu reporterów. Ułatwiał to sytuację jej autorom, stwarzając możliwości wymiany między nimi uwag zawierających niezbędne dla słuchacza wiadomości.

Nowa droga stwarza nowe zadania. W reportażu sfabularyzowanym oczekujemy bliższej, pełniejszej charakterystyki występujących w nim ludzi. Szczegółów, które umożliwiłyby nam jakieś ustosunkowanie się do nich, wytworzenie sobie ich plastycznego obrazu. Chcemy znać ludzi, których działanie śledzimy, którzy za nas palą i wyciągają wnioski, którym mamy wierzyć. Tego postulatu audycja „Na polach Kłodawy” nie spełnia. Brak w niej indywidualizowania postaci bohater-reporterów, co jest przejawem nieprzezwyciężonych jeszcze pozostałości dawnych błędów reportażu. Nie przekreśla to oczywiście wartości audycji, która zrywając ze złą tradycją umownego autentyzmu stworzyła własną konsekwentną koncepcję realistycznego reportażu dźwiękowego.

Czy znaczy to, że metoda fabularyzacji jest jedyną słuszną drogą rozwoju reportażu dźwiękowego? Chyba nie, choć niewątpliwie jest jednym z właściwych jego rozwiązań. Nie byłoby jednak dobrze, gdyby rozpoczął się miał nowy obowiązuje schemat formy radiowej. Sztuka tak jak życie nie znosi schematu. Zgodzimy się chętnie na reportaż-montaż i reportaż jednolite. Na jedno i wiele miejsc akcji, na jednego i dwu reporterów. Na inscenizację i wierność w przekazaniu dziejących się aktualnie wydarzeń.

Rozwiązań jest dużo, i im więcej ich będzie, tym lepiej. Wiele spraw pozostało nadal otwartych. Do nich należą m. in. rola i indywidualność reportera w audycji. Przełamanie podstawowych sprzeczności reportażu dźwiękowego nie tylko nie zamyka sprawy, lecz przeciwnie stwarza szersze możliwości twórczego eksperymentu, tak niezbędnego dla dalszego rozwoju tej podstawowej z form radiowych.

Zofia Krzyżanowska

niki benzyny „Shell”, stacje obsługi „Shell”, punkty naprawcze „Shell”, warsztaty „Shell”. Wszędzie tylko „Shell” lub „Esso” — czerwone znaki rozpoznawcze imperializmu. Jest coś zabawnego w tym, że właściciele rozmaitych drobnych zakładników warszawskich, nie zdrażający na ogół zbyt gorącej sympatii do władzy ludowej, tylko dzięki niej jeszcze prosperują. Otóż i jeden z naszych paradoksów: zajęci forsownym tworzeniem najszybszego przemysłu, pozwalamy im po dziś dzień krzątać się wokół Targowej i placu Grzybowskiego. Gdyby nie dyktatura proletariatu, „Shell” roztarły ich dawno na miazgę i zmiełł z powierzchni ziemi, tak jak inne wielkie koncerny zmotyły fińskich krawców czy szewców. Helsinki są jeszcze miastem tysiąca wspaniałych pojedynczych sklepów, lecz na ulicach słychać już goraz donośniej grzmiący marsz olbrzymich spółek handlowych: „Elanto” pożera sklep za sklepem, wciśnięta się do każdego zakątka, nie ma prawie arterji bez „Elanto”, „Sokos” i „Stockmann” rosną z dnia na dzień w potęgę. Wkrótce wszystko co drobniejsze skruszy się między nimi jak mała lódka między buriami żelaznych dreadnaughtów.

W południe dwudziestego dwiętego czerwca wystartowały z lotniska w Helsinkach. Ostatnim napisem, jaki spostrzegliśmy, był czerwony stygmat „Esso” blyszczący na cysternach z benzyną. Ludzi w importowanych płaszczach, kobiet w tanich nylonach, pomarańcz na wystawach — dawno nie było już widać. Lecz chłodziły krótki napis błyszczął jeszcze ciągle pod nami. To on nas zęgnął ostatni — nie Finlandia.

Tadusz Konwicki
Aleksander Scibor-Rylski

STEFAN KOZICKI

Poznański prospekt

Ze wszystkich kolorów najsympatyczniejsze są chyba niebieski i złoty — niebo i słońce. A więc choć wiele trudu włożyli nasi architekci i plastycy, aby nadać Targom Poznańskim charakter świętego teatralnego spektaklu, choć zamalowali kreskami wiele metrów kwadratowych ścian, upiepli każdą ekspozycję sztuką jedwabiu zawiłymi sposobami fryzjerskiej ondulacji „dla pań”, najwspanialsze były dla mnie maszyny i motory, ustawione na wolnych przestrzeniach, wyrwane niejako ze zwykłego dla siebie kontekstu — hal fabrycznych, a ozdobione tylko piękną pogodą, błękitnym niebem i słońcem, które sprzyjało Targom przez pierwsze dni po

z szafowym samograjem, który w szczenięcym wieku wydawał mi się szczytem wspaniałości i technicznej tajemnicy.

Zresztą z podobnym dziecinny podziwem patrzyłem na większość maszyn wystawionych na Targach. Nie wiem, czy podziw mój podziwiali fachowcy zagraniczni. W każdym razie fakt, że już w pierwszych dniach Targów szereg firm zachodnio-niemieckich i francuskich (m. in. koncern samochodowy „Chausson”) zakupił znaczną ilość polskich obrabiarek, o czymś świadczy. Świadczy m. in. o tym, że ocmokane dokumentnie przez warszawskich kibiców autobusy francuskie lepsze od polskich, produkowane są przy pomocy polskich maszyn lepszych

Trzeciego dnia Targów panowie nie wychodzili już ze swoich biur, wokół ekspozycji zjawiali się barierki niedopuszczające nikogo z bliska i tabliczki: „Nie dotykać”. Na kilku domkach campingowych sprowadzonych na zachodnio-europejskie stoiska gwoździ wygody mechanicznych obsługujących maszyny, naklejono ze wszystkich stron kartki: „Nie eksponat! Prywatne!”. „Nie przeszkadzać!”. Myślicie, że napisy pomogły? Gdzież tam! Podbiegał klusem do p.p. fabrykanów p.p. kupcy z Chmielnej i szepotali do ucha: „God save England. Wie wie koszt? Sprzedane? Nie szkodzi... Pan mister o mnie zarobisz”. Po kupcach z Chmielnej goście, choć z pewną nieśmiałością, podchodzili niegłęboko kmielce, odsuwali klapy marynarek aby pokazać grube harmonie szustłotówek: „Panie, a ten motor nie do sprzedania?”.

Trzeciego dnia Targów nie tylko zjawiali się barierki, których przedtem nie było, ale niektóre przedstawicielstwa firm zagranicznych musiały najać po kilku krzepkich poznaniaków do odganiania nazbyt natrętnych klientów. Robili to ze zjawstwem, a tylko od czasu do czasu schylali się leniwie do skrzynek z prospektami. Wtedy wyciągały się ku nim dziesiątki rak. Kociaki chwytaly prospekty traktorem, stateczni kułacy — schemat sposobów produkcji francuskich jedwabiu, zaś młodzi panowie z modnym uczesaniem „na zapakę” z uważną miną poczynali studiować malunki obrazujące działanie mechanicznego sortownika węglowego.

PRAWO KONTRASTU DZIAŁA

W pawilonie chińskim przebywałem chyba najdłużej, a to po prostu z tej przyczyny, że tłum zwiędziających karków wprost przejścia z jednej sali do drugiej. Zawiniły tu nasze panie ustawiające się w długie kolejki kade macania chińskich jedwabiu (szczególnie wzruszającym widokiem był dla mnie widok dwóch poważnych zakonnice oglądających ze wszystkich stron szereg jaskrawych tkanin nadających się z powodzeniem na suknie balowe z dużym dekoltem). Regularne ogonki kładnie z krzykami „pan tutaj nie stał!”, „przejdź pani na koniec ogonka!” stały też w dziale produktów spożywczych, gdzie pod skrzynekami i siólkami z artykułami w rodzaju muszle Awabi, ośmiornice suszone i wędzone pletwy rekinów czytać można było wyjaśnienia: „Duża zawartość witaminy C i D. Sole mineralne wzmacniające żołądek. Zastosowanie — jadalne”.

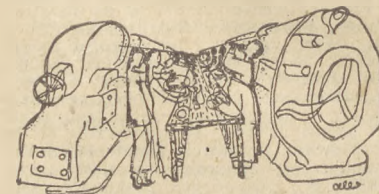
Pawilon chiński zorganizowano świadomie na zasadzie kontrastu. Obok powłóczystych strojów ludowych można było oglądać koszulki sportowe najmodniejszych amerykańskiego kroju, bikińskie skarpety i szorty. Obok pletw rekina — motocykle.

Ale największy sukces zaraz po pletwach rekina, sukces równy chyba scoutterom, osiągnęła w pawilonie chińskim nieefektowna maszyna włókiennicza — przedzarka. Obok dziesiątków innych przedzarek wystawianych w innych pawilonach tłum przechodził stosunkowo obojętnie. Dlaczego w pawilonie chińskim było inaczej? Przepchnawszy się nie bez trudu między otaczającymi maszyną ludźmi znalazłem odpowiedź na to pytanie w postaci demonstrującej przedzarkę w ruchu młodej, ślicznej Chinki w błękitnym kombinie. Wykapana Chinka z przedwojennych reklam herbaty. Jednak ani sama Chinka (choćaby z najpiękniejszego obrazka) ani sama maszyna włókiennicza (choćaby najnowocześniejsza) nie zgramadziłyby takiego tłumy. To działało prawo kontrastu. Dziewczyna z pudełka

od herbaty pracująca przy nowoczesnej maszynie.

Prawo kontrastu... Dawało ono o sobie znać wszędzie, nie tylko w chińskim pawilonie. Ot, chociażby taki kontrast zasadniczy: stoiska krajów demokracji ludowej cechowała bogata oprawa plastyczna, wszędzie widać było rękę artysty, natomiast stoiska państw kapitalistycznych potraktowane zostały przez swych właścicieli po prostu jak wystawy sklepowe. Nie dając wyższości jednej formie ekspozycji nad drugą chciałem tylko zauważyć, że niektórym przedsiębiorcom zachodnim udało się bez wprowadzania obcych elementów dekoracyjnych rozwiązać bardzo sugestywnie swoje „wnętrza sklepowe” samym układem i zestawem towarów. Stąd dla naszych plastyków rada na przyszłość: Więcej troski o funkcjonalność dekoracji. Mniej pompatozności, mniej panneau i gigantycznych fresków. Gdy elementy te użyte na Targach nie zbliżają, ale oddalają widza od ekspozycji, każąc patrzeć na ekspozycję, bądź co bądź codziennego użytku, jak na rzeczy oświetlone, niemalże — przedmioty kultu. (Nb. najlepszym pomysłem dekoracyjnym wydała mi się oryginalna fontanna utworzona przy pomocy działania pomp głębinowych polskiej produkcji. Piękne z pożytecznym w jednym).

„A propos pożyteczności: długo obserwowałem przy stoiskach francuskich dystygnowanego swiego pana z chamberlainowskim parasolem



pod pachą; wystawał samotny przed gablotkami zawierającymi szampana. Oglądał każdą z identycznych nawet butelek, oddzielnie. Zbliżał się, oddalał, przysyłał o czy ręką, przekrzykiwał głosem. W ruchach namaszczenie. Rozmarzenie w oczach.

Rozparcelowany arystokrata? Zdeklasowany bywalec „Adrii”?

Bynajmniej. Był to mój znajomy kelner z warszawskiego klubu dziennikarzy. A więc zachwycenie, podyktowane nie snobizmem, nie reakcyjnym, na „dawne dobre czasy” rozczuleniem. Zwyczajnie i po prostu — zainteresowanie profesjonalne.

Ale w tym, że tylko jeden stary warszawski kelner zainteresował się francuskim szampanem, tkwi też pewien kontrast. Kiedy wyjeżdżałem do Poznania, przosono mnie o książki, o reprodukcje malarstwa, o opony samochodowe, rowery, zegarki szwajcarskie. Pewien pisarz „od tematyki wiejskiej” chciał mi nawet dać pieniądze na snopowiązałkę („wybieram się w teren — rozumiesz?”). Ale o szampana nikt nie prosił. Szampanieś nocie straciły swoje dosłowne znaczenie. Są już tylko metaforą.

Stefan Kozicki

Rysunki Alicji Wirth

W KINIE I GDZIE INDIKIE

Kryzys formy czy kryzys idei?

Film dokumentalny wydał u nas ostatnio kilka dzieł znakomych. Jego przecież środkami wyprodukowany został jeden z najlepszych filmów powojennego dziesięciolecia — „Gwiazdy muszą pisać” Munka i Lesiewicza, niedawno Wytwórnia Filmów Dokumentalnych opuścił nakomity, pełen pasji plakat agitacyjny „Uwaga chuiagani!” Hoffmana i Skórzewskiego będący jednym z nielicznych u nas przykładów filmu narodowego z niecierpliwą, zarliwą chęcią bezpośredniego, ostrego interweniowania w sprawy życia. Powstało kilka filmów wybitnych, ale kinematografia dokumentarna jako całość przeżywa dotkliwy, głęboki kryzys.

Powiadają, że jest to kryzys gatunku, że film dokumentalny, będący zawsze w mniejszym lub większym stopniu publicystyką, służącą stawianiu problemów, stracił czy też traci rację bytu w chwili, gdy film fabularny, prasa, radio i książka bezustannie atakują odbiorcę problemami. Tak więc gatunek, który w kinematografiach komercyjnych stanowi prawie zawsze placówkę stojącą w opozycji do bezrefleksyjności filmu fabularnego, będący bastionem problematyki społecznej, obecnie staje się którymś tam z kolei dublerem tych samych co wszędzie spraw. Nie jest to chyba teza całkowicie słuszna, ale coś ze słuszności się w niej mieści. Nie o tym jednak chcę mówić.

Powiadają również, że film dokumentalny przeżywa kryzys formy. Że pod wpływem sukcesów, jakie osiągnęli Munk i Lesiewicz na drodze fabularyzacji filmu dokumentarnego, poprzez inscenizowanie scenek, konstruowanie filmu na wzór dramaturgii filmu fabularnego, wielu realizatorów dokumentarzystów zaczęło powtarzać te chwytli, powtarzać przeważnie nieudolnie, układać najprzeróżniejsze historijki za biurkami, w ciszy gabinetu, i to doprowadziło do gwałtownego, prawdziwego, tkwiącego po uszy w rzeczywistości filmem dokumentarnym opartym na obserwacji. To prawda najszczerza. Istotnie, w fabularyzacji wielu dokumentarystów dostrzegło nie — jak to było u Munka i Lesiewicza w „Gwiazdach” — chęć spolegowania prawdy i realności, lecz przeciwnie — wygodną ucieczkę od prawdy, od tego co się dzieje dookoła, w stronę miernotki i przeważnie, wlatującego beletryzowania. Poczęły powstawać z tego nierzadkie nowiadełka, taka niby literatura i pół-gramotnia. Poczęły powstawać scenariusze, w których z góry było określone, co widz zobaczy na ekranie, a więc wyprane z autentyzmu. W przypadku, wzbudaciacie obraz dokumentalny, stanowiącego o jego prawdziwości.

A więc kryzys formy? Tak, kryzys formy, ale będący przecież sprawą wtórną, sprawą pochodną od zasadniczego kryzysu w filmie dokumentalnym — kryzysu idei.

Bedąc w dość bliskim kontakcie z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych mam okazję częstego czytania scenariuszy i pomysłów, nadsyłanych do redakcji WFD. Obrzydzenie bierz od tej lektury. Są to opowiadania w większości całkowicie „moralnie obojętne”, jakieś zachwyty nad urokiem wczasów, zdawkowe informacje o pracy rozmaitych instytucji użyteczności społecznej, nieudolne opowiadanka o ludziach pracy w Polsce. Ich wspólna cecha jest przede wszystkim idealna obojętność na sprawę naszego życia. Nie są one, rzecz jasna, skłamane, nie

mówią nieprawdy wprost, ale nie dążą do mówienia prawdy, najważniejszej, zasadniczej, leżącej na sercu twórcom. Przypominają widokówki ze słynnych kąpielisk, które są przecież fotogramami, ale fotogramami nie dającymi absolutnie pojęcia o fotografowanym obiekcie. Często nawet i tym nie są.

Skąd to się bierze? Powiedzieć — z oderwania od życia, to za mało. Za mało, bo nie wierzę w oderwanie od życia. Każdy przecież z nas jakoś tam żyje, a nikt chyba nie doświadcza życia samych arkadycznych rozkoszy, nikt nie chodzi po różach, nie ma takiego człowieka, który by nie przeżywał w mniejszym lub większym stopniu tych samych, takich samych problemów, którymi żyje naród jako całość. Absolutne oderwanie od rzeczywistości jest w naszych czasach niemożliwe. Występować może tylko zjawisko, które nazwałbym „fetyzującą” rzeczywistością. Owa „fetyzująca” jest swego rodzaju kłamstwem. Polega ona na tym, że twórca powiada: „To, co widzę, nie jest rzeczywistością. Rzeczywistość, to coś nieokreślonego, dalekiego, co leży poza mną, może w Nowej Hucie, może na wsi, kto ją tam wie? Moje doświadczenie życiowe rzeczywistości nie jest i przez to samo nie jest obiektem godnym sztuki realistycznej”. W ten sposób z listy obiektów rzeczywistości wykreśla się scenki, które twórca ogląda co dzień wykreśla się kłopoty, którymi żyje, wykreśla się sprawy, które go niepokoją. (Nie trzeba dodawać, że dzieje się to, jak mówią niektórzy, „w imię typowości”). Rzeczywistość staje się nieosiągalną chimērą. Stajemy wobec niej bezradni i musimy wymuszać głupe bajeczki, żeby w ogóle coś robić.

Możemy również jechać do Nowej Huty, ale i to niewiele pomaga. Tam przecież też dokumentarzysta fetyzujący rzeczywistość przeoczając to, co najważniejsze, gdzie najważniejszym jest to, co wspólne dla wszystkich ludzi pracy, a to przecież zna z własnego życia i uznaje za „nietypowe”.

To jest chyba dalsze, głębsze dno kryzysu formy, który panuje w filmie dokumentalnym. Ale nie najgłębsze. Najgłębszym, jak sądzę, jest kryzys idei, wyrażający się w poczuciu bezradności wobec rzeczywistości. Powiemy szczerze: w życiu naszym spotykamy się nieraz z szeregiem sytuacji, wobec których logika naszego rozumowania staje zdziwiona i zaskoczona. Zygaciki wydarzeń nierzadko burzą brutalnie nasze uzasadnione dążenie do stabilizacji intelektualnej, do zbudowania świata stałych kryteriów myśli i sumienia. Stąd, jako zrozumiałe i ludzkie uczucie rodzi się bezradność, będąca zniechęceniem do wyjaśniania świata i stabilizowania pojęć. I chyba ta bezradność, ta niechęć, ten kryzys zaufania do możliwości rozeczania się w świecie współczesnym jest właśnie kryzysem idei w filmie dokumentalnym. Jest on, oczywiście, w ostatecznym sensie, umiarkowaną słabością idenowej wielu twórców.

Nie można mówić o życiu wtedy, gdy nie ma się doń zaufania, tak jak nie można dokonywać ewolucji cyrkowych na koniu, który w każdej chwili może stanąć dęba.

Marksizm stoi na gruncie prawdziwości świata — stąd jego siła. Zadaniem marksistów jest budować w sobie i w innych owo przekonanie trudną pracą myśli, wyłożonym wysiłkiem sumienia.

Krzysztof T. Toeplitz

ich otwarciu. Nowoczesna technika działa na mnie podobnie jak abstrakcyjna sztuka: niewiele rozumiem, nie potrafię wytłumaczyć, a jednak jestem nieraz zachwycony dziwnością samej formy. Zwiedzając Międzynarodowe Targi Poznańskie utwierdziłem się raz jeszcze w przekonaniu, że osobliwie dekoracyjnym elementem naszych czasów jest maszyna.

SZAFĄ GRA!

W moim mieście dźwigi wytyczają perspektywę większości ulic, są rzeczą równie codzienną jak tramwaje. Ta warszawska codzienność odbudowy ukazała mi się na Targach w nowym wymiarze. Na wysokim wysypisku sięgał nieba zespół kilkunastu dźwigów różnych typów i kształtów. Różnobarwne kraty metalowe na niebieskim tle, załamujące się pod różnorakimi kątami metalowe pręty ramion, wielkie haki zawieszone w połowie drogi między ziemią i strzebiastą pogodną chmurką. I piękny i imponujący widok. Stałem długo przed formalistycznym obrazem pogmatwanych ramion dźwigów na tle nieba i zyskiwałem świadomość spraw, które tracą w codziennym z nimi obcowaniu. Na przykład: wszystkie te dźwigi w 16 różnych typach produkujemy w kraju według pomysłu polskich inżynierów. A produkujemy je już w takiej ilości, że możemy sobie pozwolić na ich eksport.

Teoretycznie wiemy o tym, że żyjemy w epoce maszyn, ale jakże trudno nam o tym zawsze pamiętać. Wiemy o zasadzie, ale same maszyny umykają naszej uwadze, wiemy że chodzimy na nogach, ale nie zwracamy na to uwagi. Na Targach maszyny zostały zebrane w takiej masie, w takiej ilości, że niemożliwością było obejrzeć ich wszystkich jednego dnia, a oglądane wszystkie razem miały się w świadomości widza. Z pewnością fachowcy odczuwają to inaczej. Dla mnie jednak wszystkie polskie maszyny pokazane na Targach (ponad 600 modeli) związały się razem w obraz jednej, gigantycznej. Jednej potężnej maszyny naszego młodego przemysłu.

Tablice informacyjne umieszczone przy stoiskach ciężkiego przemysłu starają się oczywiście przeciwdziałać temu wrażeniu jedności i — odwrotnie — zwrócić uwagę widza na różnorodność i indywidualność każdej z maszyn: „W planie 5-letnim przemysł polski rozpoczął produkcję ponad 300 nowych typów maszyn”. — „W 1946 roku produkowałyśmy 60 rodzajów maszyn włókienniczych. W roku 1955 produkujemy 93 rodzaje”. Właśnie pod tym ostatnim plakatem, wśród maszyn włókienniczych zwróciłem uwagę na jedną, która od wszystkich znanych mi dotąd wyróżniała się szczególnym kształtem i budową. Wyobraźcie sobie oszkloną szafę o rozmiarach jednorodzinnej domku, szafę przypominającą nieco samograj, spotykany jeszcze z rzadka w starych prowincjonalnych knajpkach. Za szybami tej pięknie politurowanej szafy-samograja widnieją stalowe drażki, kółka zębate, dźwignie, mensurki, rurki szklane. Na zewnątrz parę zegarów i guzików. Można powiedzieć: szafa zapieła na ostatni guzik. Można nacisnąć guzik i — szafa gra! Oficjalna nazwa samograja jest nieco przydługa i brzmi: „Włókiennicza WP 3 do ciągłego przedzięcia jedwabiu wiskozowego”. Z jednej strony maszyna wrzuca się nieco chemikaliów, a z drugiej strony otrzymujemy różnokolorowe jedwabne nici, porządnie zwinięte na spule. Niech się technicy gniewają, nie na to nie poradzę, ale ten najnowszy sukces naszego przemysłu maszynowego od razu i na zawsze skojarzył się w moim umyśle



od francuskich — według zdania francuskich speców.

BARIERKI, KTÓRYCH NIE BYŁO

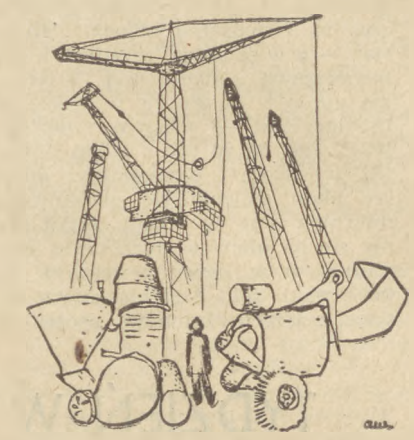
Jeszcze het, het, daleko przed datą rozpoczęcia Targów galopował przez Polskę tabun dzikich wiesci poganianych przez dzielnych cowboi z dzienników Polskiego Radia („Na Targach nabyć będzie można szereg atrakcyjnych towarów firm zagranicznych” — ta wieść brzmiała dzień w dzień z głośników, umiejscowiona nieodmiennie gdzieś między sprawozdaniem z pobytu premiera Nehru w Polsce a streszczeniem ostatniej mowy Eisenhowera). A więc galopowały przez Polskę dzikie wiesci głoszące:

„że każdy będzie mógł kupić na targach za jedno 3000 złotych angielski kabriolet „Austin”;

„że francuskie scouttery będzie można po wystaniu malej godzinie w ogonku, nabywać taniej niż we Francji, choć tylko półhurtem — na tuziny.

„że greckie oliwki i pomarańcze rozdawane będą przez sprzedawców w stroju Apollina każdej kobiecie z dzieckiem.

Wszystkie te plotki dały w sumie mobilizację całej handlarskiej Polski. Kupcy z bazaru Różyckiego, ba! nawet babcie z „Maison Ciuch”



na Stalowej stanęły frontem do morza w gotowości bojowej. Rezultat?

Przez pierwszy i drugi dzień Targów ekspozycji angielskiej firmy „General Standard Co” (samochody, motocykle) oraz podobne ekspozycje innych firm zachodnio-europejskich stały sobie „luzem”, każdy mógł podejść z bliska, przypatrzyć się ze wszystkich stron do woli. Do oglądających uśmiechali się zbyt elegancją panowie siedzący przy swych fabrykach na składanych krzeselkach.

Fraszki

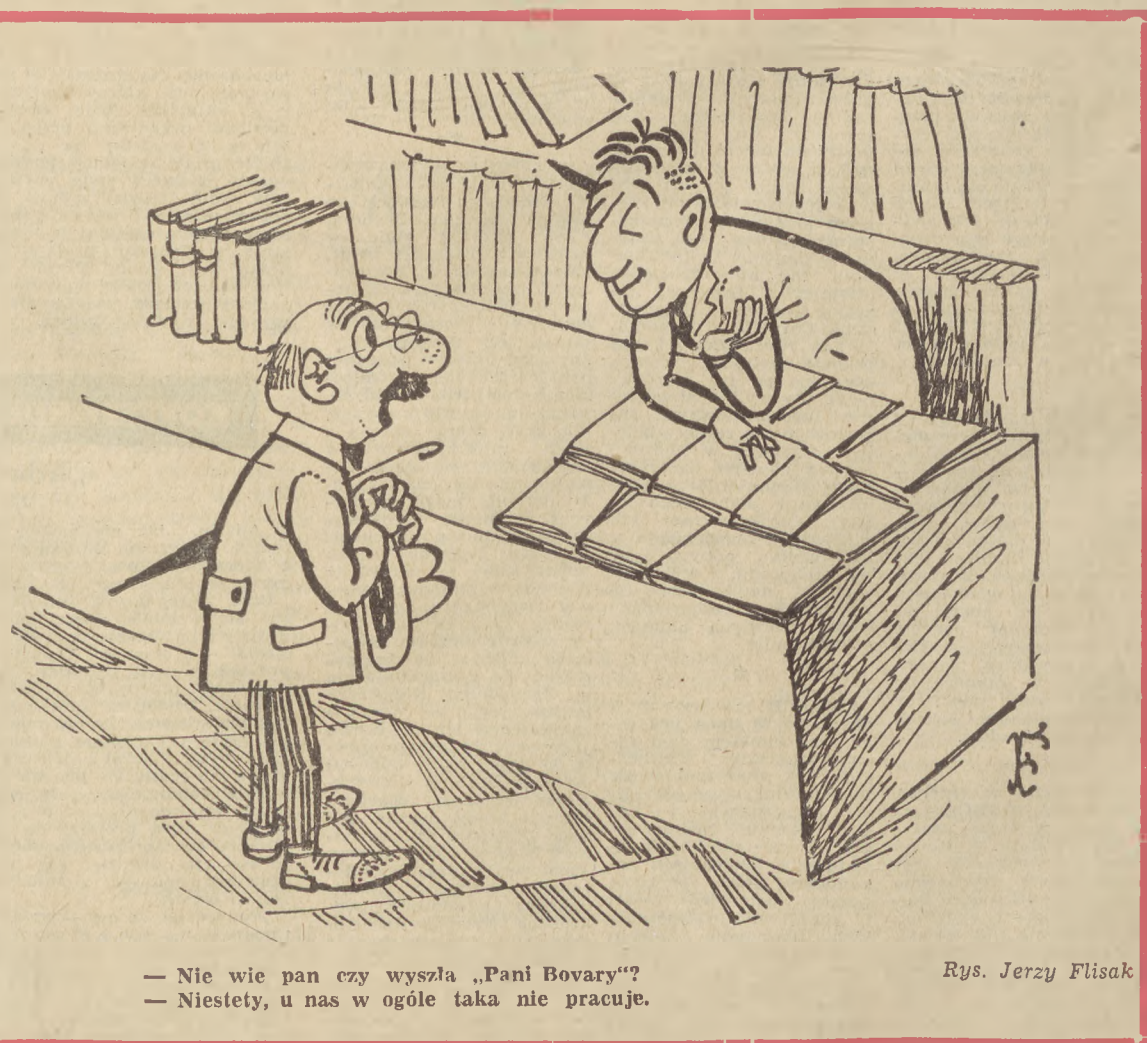
STEFF TATKOWSKA

O PRASIE

Co lepsze czasopisma —
to prasa myśliwska,
Ponieważ od świtu na nie
Trzeba w kioskach urządzać polowanie.

O PROPAGANDZIE

Propaganda — jak stary weterynarz —
Nie uważa nas za mimozę.
Wciąż te same olbrzymie dozy,
Przed jedzeniem, po jedzeniu — co godzina.



— Nie wie pan czy wyszła „Pani Bovy”?
— Niestety, u nas w ogóle taka nie pracuje.

Rys. Jerzy Flisak